AS



Nr. 20
15 MAJA 1938 ROKU
CENA 40 GROSZY

BIAŁY LIS
GAIL PATRICK
Fot. Połoński — Hollyw

TEATR NA WSI

WSPOMNIENIE

ANTONI WYSOCKI

Sporo lat przed Wielką Wojną we wsi Zaborów w powiecie Brzesko w dawnej Galicji powstał teatr amatorski, nie we Lwowie, jak to bywało, ale na wsi w Domu Ludowym, zorganizowany za namową ziemianina i pisarza Sewera Ignacego Maciejowskiego, entuzjasty ludu i życia wiejskiego.

Wsiowi parobcy i studenci przybyli ze szkół na wakacje, grali komedję Anczyca „Łobzowianie".

Nim rozdano role, by rozpocząć próby, już byłby się projekt rozleciał, bo dziewczęta bały się i wstydziły wystąpić na scenie, a już o tem, aby się pozwolić charakteryzować, malować do występu, żadna nie chciała ani słyszeć. Jakże więc? Nie będzie przedstawienia? Jednak pokonał tę przeszkodę najzdolniejszy z zaborowiaków Józef Cierniak, student (dziś w Warszawie radca Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego) i w przebraniu zagrał odpowiednią w sztuce rolę kobiecą.

Przedstawienie odbyło się tak, jak w prawdziwym teatrze.

W sali sklecono estradę i oddzielono od widzów kurtyną.

Dekoracje?

Były, też własnego pomysłu.

Zresztą główna rzecz, to zapał amatorów, artystów.

Hiszpański pisarz dramatyczny, Lope de Vega, autor kilkuset komedyj i dramatów, powiedział, że teatr to wóz, kilku autorów i... namiętność.

W Zaborowie nie brakło tego świętego ognia, fantazji i humoru.

Twarze aktorów, że, przy oświetleniu lamp naftowych, widziane z odległości, byłyby się wydały blade i niewyraźne, więc sprowadzony z Tarnowa fryzjer domalował rumieńce, przeczernił brwi, i komu trzeba było, nałożył perukę, blond, czarną, siwą i doprawił wąsy.

Wieść o widowisku rozbiegła się po okolicy. Ludzie z Zaborowa, Borzęcina i Dołęgi, a w pierwszych ławkach inteligenci i ksiądz kanonik Nikiel i z Brzeska pan starosta Chrząszczewski, zapełnili salę. Tłok był taki, że nie sposób, aby wszyscy odrazu mogli się pomieścić.

Gwaru, oklasków dla nowości z nieznanego dotychczas świata wrażeń nie zliczyć.

Sławny się zrobił w Małopolsce ten Zaborów, żywy przykład do naśladowania dla innych wsi.

Bo też grali z duszy, serca.

Wybornie.

Łatwo było spostrzedz, ile talentów aktorskich kryje się wśród ludzi zupełnie tego nieświadomych. Podobnie jak głos najznakomitszych śpiewaków, Carusa, naszego Mierzwińskiego i niedawno zmarłego Szalapina, ujawnił przypadek, że tych robotników, czeladnika kowalskiego, murarskiego i tragarza portowego posłyszał znawca, a później nauka w konserwatorjach głos ich oszlifowała. Tak i talent aktorski, możność ludowego odczucia charakterów i sytuacji komedji i dramatu, wcielenia się w urojone postacie, daremnie i jakże często czeka na swych odkrywców, kierowników i mecenasów.

W sąsiedztwie, w gościnnym domu Sewera Maciejowskiego, w Dołędze, bywała wtedy w lecie garść literatów. Asnyk, Wyspiański, Miciński, Nowaczyński, Siedlecki. Podziwiali zdyscyplinowaną technikę dykcji, szerokość skali uczuć i żywiołowy, jeszcze nie wychłodły rutyną, temperament domorosłych aktorów.

Może było w tej grze, surowej a rozlewnej echo wiekowej tradycji, manifestowanej w chóralnym śpiewie kolęd w okresie świąt Bożego Narodzenia i Trzech Króli, gdy wiejscy aktorzy, w dziwacznych przebraniach za wilka, niedźwiedzia i gąsiora, chodzili ze śpiewami od domu do domu? I pamięć obchodów z szopką, w rolach Heroda, żołnierza, śmierci i djabła? Dość, że ten przykład utworzenia teatru w Zaborowie odddziałał na dystans, na dalszą teatralną kulturę wsi.

Wieś łaknęła i łaknie kulturalnej rozrywki.

Na Śląsku już działały stale zespoły dla urządzania przedstawień teatralnych, wieczorów deklamacyjnych, muzycznych, śpiewaczych i wspólnego czytania sztuk teatralnych.

Dziś w Polsce, w miastach, miasteczkach i po wsiach jest przeszło 4000. Bibljoteki ich liczą około 14 tysięcy tomów książek. Grają te zespoły we własnych, przygodnie wynajmowanych salach, w domach „Sokoła", remizach strażackich, szkołach i restauracjach. Mają obfite garderoby i utrzymują ze sobą łączność w drodze korespondencji.

Zarządy udzielają porad w sprawie urządzania widowisk na miejscu i objazdowych, wypożyczają egzemplarze sztuk i śpiewników, wypożyczają kostjumy i rekwizyty dla przedstawień, uroczystości, świąt narodowych, świąt morza i gór.

Mówi o tem wszystkiem pismo, miesięcznik pod tytułem „Teatr ludowy", wydawany pod kierunkiem pp. Jędrzeja Cierniaka i Jerzego Zawieyskiego, w domu Instytutu w Warszawie przy ulicy Reja Nr. 9 Instytut udziela również porad w sprawie wyboru sztuk i urządzenia przedstawień.

Rzecz szczególna, że obecnie, mimo rozrostu literatury, a i makulatury, brak absolutnie odpowiednich sztuk teatralnych. Wydaje się to nieprawdopodobne. A jednak....

Dawne utwory teatralne o tematach i tle życia na wsi, tak wybitnych autorów, jak Anczyc, Sewer i Galasiewicz — poza doskonałemi sztukami Fiałkowskiego i Rączkowskiego — jest ich wszystkiego kilka, nie wystarczą dla wyższego w czasach powojennych poziomu umysłowości wiejskiego ludu. Inne, o tematach miejskich, społecznych problemach psychologicznych, czy nawet wiejskich stylizowanych, tchną obcością. Na swoje, polskie, bliskie i zrozumiałe, ciepłe, lud czeka.

To pewne, że na wsi, tej krynicy życia, nie zabraknie talentów do ich scenicznego zrealizowania. Przecież wówczas w Zaborowie, na przedstawieniu „Łobzowian" widzowie z Krakowa, literaci, smakosze i malarz Włodzimierz Tetmajer, nawiasem mówiąc, świetny, porywający deklamator, więcej przejęli się grą zaborowiaków, niż niejednem z przedstawień w teatrze miejskim o ustalonych artystycznych walorach. Z małej sceny Domu Ludowego narzucała się wyobraźni siła, która płynie z prostoty, z czaru świeżości, w tym wypadku, w komedji, siła charakterystyki i komizmu.

Ciekawą rzeczą byłoby zobaczyć tych wioskowych aktorów w dramacie.

Włodzimierz Tetmajer rzucił myśl utworzenia cyklu przedstawień Męki Pańskiej na wzór przedstawień urządzanych, jak wiadomo, od lat przez chłopów w Bawarji, w Oberammergau. Na miejsce dla tych przedstawień proponował Kalwarję lub Ojców, tak jak w Oberammegau, pod otwartem niebem.

Może kiedyś z tego projektu coś będzie.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 20 **Niedziela, 15 maja 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 20-GO:



Fot. Feliks Nowicki — Kraków.

Jedną z największych imprez, urządzanych corocznie na ziemiach polskich, są „Dni Krakowa", które w tym roku odbędą się w czasie od 4—24 czerwca. Na program złożą się: festiwale sztuki, widowiska regionalne i historyczne, wystawy, specjalne przedstawienia teatralne i wiele innych. Na zdjęciu: Pełen uroku widok z wieży Marjackiej na zamek królewski na Wawelu i jego otoczenie.

OKOLICA OLBRZYMÓW

Mniejwięcej w połowie r. 1937 w różnych częściach Polski ukazały się wielkie, czerwone afisze:

„Pomóżcie nam w wyszukaniu w Polsce pokładów rudy żelaznej i innych materjałów, a w szczególności manganu. Możecie nadesłać minerały i rudy znalezione przy kopaniu studni lub na polu. Koszty za przesłanie paczki otrzymacie po kilku dniach z powrotem od poczty.

„Jeśli po zbadaniu próbki w miejscu znalezienia jej czynić będziemy poszukiwania geologiczne za rudą, w nagrodę otrzymacie premje w wysokości 50 zł. Dalsze premje w wysokości od 500 do 1000 złotych wypłacone będą, jeśli po dokonaniu badań w miejscu znalezienia próbki zgłoszone będą nadania górnicze dla umożliwienia wydobycia rud".



Wchodzimy w mglistą krainę olbrzymów... (Fot. E. Łomozik).

Był to swego rodzaju list gończy. Poszukiwano materjałów, które ukryły się przed człowiekiem na olbrzymich przestrzeniach ziem polskich. Szukano ich dla hut.

Tegoż roku 1937 — późnem latem, odwiedziłem Gdynię. Z hukiem waliły się nad nadbrzeża szczątki żelaznych konstrukcyj. Złom. Przebył on oceany i morza na statkach w drodze do tajemniczej krainy wielkich hut, by mogły one żyć i dać życie ludziom.

Żelazo będące dziś podstawowym surowcem, oraz jego produkty — stanowią niezwykle ważny czynnik w gospodarce narodowej. Do ostatnich czasów wedle opinji, Polska posiadała mało rud żelaza. Zapas ich stanowił 0.2% zapasów światowych. Wskutek tego w r. 1936 sprowadzono z zagranicy łomu żelaznego za 38 miljonów złotych, a rudy za 7 miljonów. Taki stan był nader groźny dla kraju w razie wybuchu wojny i zamknięcia granic.

Wobec tego i na skutek krystalizowania się C. O. P. na całym niemal terytorjum Polski rozpoczęte zostały poszukiwania. Zwrócono się o pomoc do osób prywatnych. We wszystkich zakątkach państwa ukazały się czerwone plakaty:

„Pomóżcie nam!"...

Na prawo: Wartkim strumykiem spływa surówka do kadzi, rzucając wkoło snopy iskier. (Rys. J. M. Brzeski).

R. 1937 był u kresu. Któregoś dnia do biur „Wspólnoty Interesów" nadeszła niepokaźna paczka. Nadana została we wsi Stempina koło Frysztaka, w powiecie Krośnieńskim — przez Walentego Boronia. Paczka zawierała kamienie barwy ciemno-czerwonej. Była to czysta ruda... Ruda dla hut.

Z Katowic wyjechała komisja do Stempina na tereny Boronia. Komisja ta ustaliła, że w całej okolicy znajdują się bogate pokłady rudy. Praca na terenach żelazonośnych nie ustawała. Jednocześnie z bliższej i dalszej okolicy zaczęły napływać do Katowic setki przesyłek z próbkami. Powtarzano magiczne słowo:

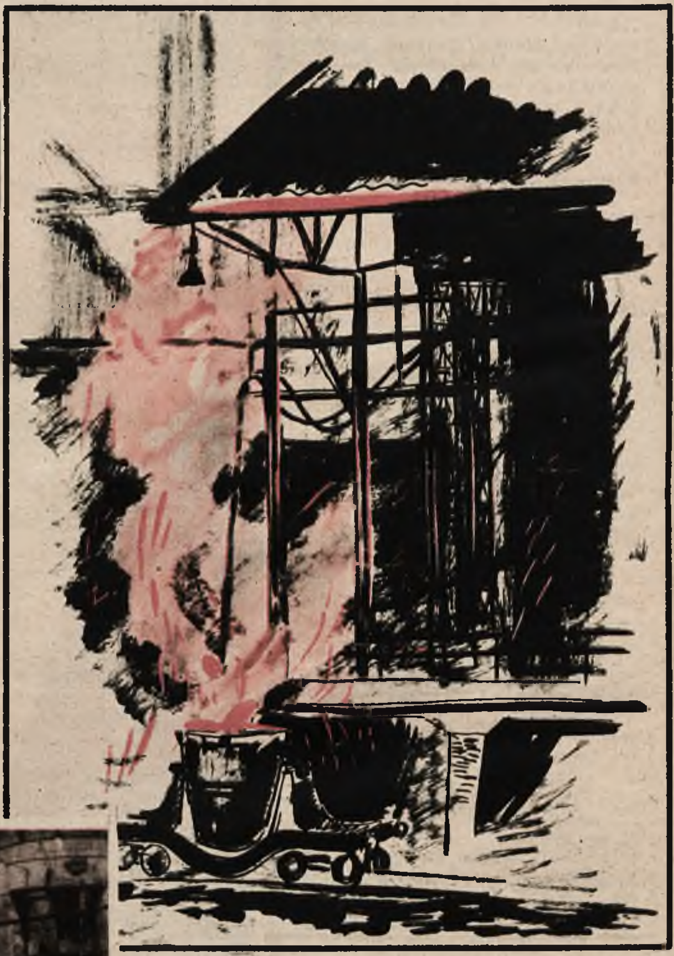
— Żelazo!... żelazo!...

Naukowe badania ujawniły w okolicach Krośnieńskich formacje geologiczne rudy na przestrzeni 70 km i o szerokości 3 km. Próbne wiercenia wykazały na głębokości do 30 m zapasy, wynoszące około $1\frac{1}{2}$ miljona tonn na 1 km².

Łagodny krajobraz szybko począł się zmieniać. Gorączka żelaza zawisła w powietrzu. Wyrosły rusztowania szybów, kopalnie zaczęły swą pracę wśród zgrzytu maszyn. Ziemi wydarto jeszcze jedną tajemnicę, której imię: wielkie pokłady dobrej, 47-procentowej rudy.

\+ \+ \+

Wczesną wiosną 1938 — wyruszyłem z wycieczką dziennikarzy na Śląsk, by poznać jego twarde życie.





Jest dotkliwie zimno. Dochodzi 6.30 rano. Jeszcze chwila oczekiwania i omnibus wytacza się na mokre asfalty. Nabiera szybkości, opuszcza miasto, niedzielne, puste ulice i wypada w pola. Zaczyna padać śnieg.

— Czy pogoda się poprawi?

Nie. Pogoda była szalona. Przez cały dzień otulała nas chłodem, wilgocią, śniegiem. Wicher wiał jak wściekły. Tak dojeżdżamy do Katowic.

W godzinę po przybyciu na miejsce, oszołomieni wielomiljonowemi inwestycjami województwa, które nam pokazano, stanęliśmy u wrót jednego z terytorjów, ku którym dniem i nocą dążą długie korowody pociągów, dla którego pracują na krań-

Na lewo: Wśród labiryntu szyn wznoszą się wielkie piece. (Fot. J. Pakosiewicz).

cach świata kopalnie i statki na błękitnych morzach. Mijamy tory i wchodzimy w mglistą krainę maszyn.

Tutaj odbywa się radosna przemiana rudy w surówkę i stal. W głębi, otoczone dymami, majaczą sylwetki wielkich pieców, koksowni, stalowni. Jesteśmy w hucie „Piłsudski" — jednej z czterech hut koncernu „Wspólnoty Interesów".

Mijamy szeregi pogmatwanych torów, żelazne rusztowania, rozjazdy kolejowe, sznury jadących wagoników, zabudowania. Wreszcie stajemy przed wielopiętrową gmatwaniną stali i żelaza. Jesteśmy u źródeł gorących, żelaznych rzek. Wierzchołki wielkich pieców osłonione są kłębami pary i dymu.

Bardziej na prawo wystrzela wysoko ku górze nowo wybudowany wielki piec „A". Otacza go labirynt instalacyj. Za jakiś czas ma nastąpić spust surówki. Tymczasem idziemy dalej. Tunelem pod torami kolejowemi zbliżamy się ku koksowni. Długim szeregiem ciągną się numerowane komory tego urządzenia. Działanie jego polega na wyprażaniu brykiet, ubitych z miału węglowego — w wysokiej temperaturze i bez dostępu powietrza.

Wzdłuż komór przejeżdża elektryczny wagon. Co jakiś czas otwierają się ciężkie drzwi komory i rozpalona brykieta, wielometrowej długości spada do wagonu — by zostać następnie ostudzoną zapomocą deszczowego aparatu u stóp wysokiej wieży.

Koks ochłodzony, gotów jest do użytku. Wagoniki, windy będą go następnie zsypywać naprzemian z rudą w szczytową gardziel wielkiego pieca.

Owiani kłębami pary — wracamy. Wysoką schodnią wdrapujemy się na żelazny most i wchodzimy do biura, gdzie wita nas konstruktor wielkiego pieca „A" inż. Zygmunt Krotkiewski. Stoi on na tle planu swego dzieła. Rozpoczyna mówić z łagodnym uśmiechem:

„7 października 1937 r. zapalono wielki piec „A" na hucie „Piłsudski" w Chorzowie. Jest to pierwsza w Polsce budowa zupełnie nowego zespołu wielkopiecowego z całkowitem nowem wyposażeniem.

Dnia 1 sierpnia 1936 r. zostałem powołany tutaj jako budowniczy. 7 sierpnia 1936 r. przystąpiłem do sporządzenia projektu, obejmującego ponad 500 ark. rysunków konstrukcyjnych, zaś 7 października 1937 roku piec już był w ruchu. Wszystko poza niewieloma szczegółami zostało zbudowane w polskich zakładach. Piec wzorowany jest na typach amerykańskich i nie posiada w sobie nic z ustalonej, stuletniej rutyny. Wreszcie warunki pracy przy tym piecu są wręcz odmienne, niż przy starych.

Wielki piec przypomina swą budową olbrzymią rurę, ustawioną pionowo do ziemi. Rura ta rozszerza się stopniowo i na 1/3 swej wysokości osiąga największą średnicę, poczem stopniowo zwęża się ku dołowi — tworząc u swych fundamentów prostopadły zbiornik.

Wysokość pieca wynosi 27 m. Jest on wyprawiony drobnemi, szamotowemi cegłami i opancerzony stalową nitowaną blachą o różnej grubości. Stalowy pancerz pieca jest nieustannie chłodzony wodą, której przepływa 5.5 m^3 na minutę.

Piec, napełniony koksem i rudą w kolejnych warstwach i odpowiednim stosunku — raz zapalony płonie przez dziesiątki lat, wyrzucając ze swego wnętrzna potoki płynnego żelaza, szlaki, gazów. Płonie on bez przerwy, bez względu na święta, nawet tak wielkie, jak Boże Narodzenie, czy Wielkanoc...

Sam koks podsycany normalnym ciągiem nie wytworzyłby żaru o odpowiedniej temperaturze, potrzebnej do wytopienia rudy. Stosuje się więc tu metody pomocnicze. Mniej więcej u podstawy najszerszej części pieca znajdują się otwory na całym jego obwodzie, przez które wdmuchiwane jest do wnętrza pieca powietrze pod ciśnieniem. Otworów tych jest 12. Powietrze do

Dokończenie na str. 24-tej.



Wielki piec „A" — w hucie „Piłsudski" w Chorzowie.
Fot. J. Pakosiewicz.



Młot pneumatyczny przebił otwór spustu i surówka popłynęła wrzącym strumieniem.
(Fot. A. Żmuda).



Na lewo: Nad terenami huty unoszą się rude dymy...
Rys. J. M. Brzeski

GWIAZDY NAD FIFTH AVENUE





Dom w Mount Vernon, Wirginja, w którym urodził się Jerzy Washington, zbudowany jest w charaterystycznym stylu „kolonjalnym".

Na prawo: Lady Anna Washington, żona sir Williama, brata założyciela linji amerykańskiej Washingtonów (według obrazu nieznanego artysty, będącego w posiadaniu hr. of Dartmouth w Patshull House).



Mówiąc o gwiazdach, nie koniecznie musimy mieć na myśli gwiazdy filmowe, nawet w tym klasycznym kraju kina mogą one mieć inne znaczenie. W tym wypadku chcemy poświęcić parę słów tym czterdziestu sześciu gwiazdom, które powiewając dumnie na sztandarze Stanów Zjednoczonych Ameryki, symbolizują jej przeszłość i dzieje jej pierwszego prezydenta, Jerzego Washingtona.

Ameryka zrosła się w naszem pojęciu z nowoczesnością, z kominami fabryk, kinem, lotnictwem i wszelkiemi innemi objawami postępu. Ale mimo to, istnieje również Ameryka tradycyjna, spokojna, „zacofana". — Olbrzymie przestrzenie i nieliczna stosunkowo ludność powodowały, że w łączności z wrodzonym instynktem konserwatyzmu rasy anglosaskiej i w Ameryce istniały niejako „rezerwaty" życia, dziedziny nie podlegające przemianom i postępowi. Jeszcze słynny humorysta Marek Twain widział takie archaiczne stosunki amerykańskie i opisywał je, a dziś gdy naprawdę postęp wdarł się w życie U. S. A., wspomina się te czasy z rozrzewnieniem, ożywia je na filmach i w literaturze.

Gdy 4 lipca 1776 roku kongres filadelfijski postanowił ogłosić swą niezawisłość od Wielkiej Brytanji i stworzyć z licznych stanów i kolonij jedno wielkie państwo, naczelne miejsce w nowem państwie zajmował Jerzy Washington, uważany słusznie za najlepszego syna tej ziemi, a głównodowodzący armją od r. 1775, a od 1777 zaś, dyktator. A jednak Washington, podobnie jak tylu innych, był niemal stuprocentowym Anglikiem, posiadał mentalność swej ekś-ojczyzny, zalety i wady Anglika, a rodzina jego dopiero od pradziadka Jana Washingtona, żonatego z Anną Pope, osiedlona była w stanie Wirginja, około r. 1658. Niecałe więc sto lat dzieliło pierwszego prezydenta od jego angielskiej ojczyzny. Zwłaszcza w ostatnich czasach historycy angielscy i amerykańscy rozpoczęli pilne badania nad historją rodziny Washingtona. Wykazały one po wielu zresztą kontrowersjach, że Washingtonowie pochodzą z Sulgrave w hrabstwie Northamptonshire i że należeli do bogatszych kupieckich rodzin, gdyż przodek ich John Washington z Warton, był kupcem i starszym cechu w Londynie. Syn tego Johna, Lawrence (Wawrzyniec) korzystając z konfiskaty





Od lewej: Pierwszy prezydent U. S. A. Jerzy Washington. — Odcisk pieczęci Williama de Wessington z dokumentu z r. 1360. Widoczne są gwiazdy i pasy, powtarzające się na sztandarze U. S. A.

dóbr duchownym, nabył duży majątek Sulgrave i zarówno zdolnościami, jak też majątkiem stanął na znacznie wyższym szczeblu socjalnym od ojca.

Pomimo, iż rodzina wzbogaciła się w drugiej znanej nam generacji, ciągłe polityczne prześladowania, i udział w życiu publicznem za czasów Cromwella, doprowadziły rodzinę Washingtonów do rozpaczliwego, jak na ówczesne wyobrażenia, kroku tj. do opuszczenia starej ojczyzny i szukania nowej. Synowie pastora anglikańskiego Laurence z Purleigh, Essex, a mianowicie John i Laurence, wyjeżdżają do Ameryki. Nowa ziemia dawała im dwie karjery do wyboru: handel niewolnikami albo też plantowanie tytoniu i handlowanie nim. Starszy Jan wybrał oba zawody i stał się znanym wśród Indjan jako nieubłagany pan, wśród kupców zaś zażywał opinji sprytnego bussinessmana. Wkrótce doszedł do zamożności, stał się właścicielem większego majątku i osiedlił się w hrabstwie Westmoreland. O synu Johna nie wiadomo prawie nic, natomiast znany jest szczegół, że dzieci jego za sprawą jego żony zostały wychowane w Anglji. W ten sposób ojciec wielkiego prezydenta, Augustyn, był wprawdzie już Amerykaninem z urodzenia, lecz Anglikiem z pochodzenia i wychowania, co bezwątpienia, poza wpływem matki, Mary Ball, córki pułkownika Józefa Ball, nie pozostało bez wpływu na mentalność prezydenta. Dopiero Augustyn Washington przeniósł siedzibę rodzinną do Mount Vernon, gdzie podziśdzień istnieje dom urodzenia prezydenta Jerzego Washingtona, czczony i oglądany jako relikwja narodowa. Trzeba zresztą wspomnieć, że i Sulgrave w Anglji, kolebka Washingtonów, zwiedzane jest przez turystów z U. S. A. z niezwykłem zainteresowaniem.

Washingtonowie to w początkach swej karjery średnio zamożna rodzina, „a middle class family" jak ją zwą Anglicy. Ciekawem jednak będzie, gdy zwrócimy uwagę, że w tym kraju demokracji i powolnej ewolucji, rodzina kupców i „wool-merchants" w linji pochodzącej po stryju pierwszego kolonisty amerykańskiego Johna, sir Williamie, blisko była spokrewniona z potężnym księciem Jerzym of Buckingham, faworytem króla Jakóba I, przyrodnia siostra księcia była bowiem żoną sir Williama. Jedyna ich córka Elżbieta wyszła zamąż za pułkownika Williama Legge, którego syn admirał William Legge został pierwszym baronem Dortmouth, wnuk zaś pierwszym hrabią of Dortmouth. Liczne portrety i pamiątki rodziny Washingtonów pozostały w rękach potomków wspomnianego hr. Dortmouth w Patshull House i ostatnio zostały wydobyte z tych zbiorów i opublikowane w angielskiej prasie.

Lecz wróćmy do gwiazd... Otóż znajdujemy je w herbie Washingtonów, przedstawiającym w srebrnem polu trzy gwiazdy niebieskie nad dwoma pasami tejże barwy. — Gdy nowe państwo, usamodzielniwszy się, miało stworzyć nowy herb i sztandar, sięgnęło — jak twierdzą historycy — do owych gwiazd Jerzego Washingtona, a na pamiątkę, że powstało z czterdziestu sześciu poszczególnych części, takąż liczbę umieściło na swym sztandarze. Zachowano zresztą i kolory herbu Washingtona,

Nawet więc w tej trzeźwej bussinessowskiej Ameryce znajdujemy wspomnienie początków jej państwowości i walk o niepodległość w gwiaździstym sztandarze, który jednocześnie łączy się z życiem jej pierwszego prezydenta. A dziś zarówno nad dzikiemi jeszcze okolicami U. S. A., wyglądającemi nieomal tak, jak za czasów wojny o niepodległość, jak też nad olbrzymiemi miastami, pełnemi ruchu i gwaru, nad ulicą miljarderów Fifth Avenue powiewa 46 gwiazd srebrnych w niebieskiem polu...[1]).

Jan Maleszewski

---

[1]) Źródła: „George Washingtons ancestors" by Worthington Chauncey Ford, (Munsey Magazine), Burke's Peerage of Great Britain and Ireland. „English Washingtons associated with the virginian line" by T. Pape, Illustrated London News, apr. 30. 1938), „The Washington Ancestry" by T. Pape.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

V Ogólnopolska Wystawa Filatelistyczna już została zamknięta i można powiedzieć śmiało, że była wspaniałym sukcesem kolekcjonerstwa — . a jednym bardzo poważnym zresztą błędem organizacji było to, że nie przewidziano tak licznej frekwencji publiczności. Tłumy, zwiedzające wystawę wypełniały do tego stopnia sale, że można ją było zwiedzać tylko bardzo powoli, a nawet obszerne sale kasyna garnizonowego w Warszawie okazały się zbyt szczupłe na pomieszczenie eksponatów.

Aczkolwiek kolejność nagród nie była oficjalnie ustalona, zwycięzcami, którzyby mogli pretendować do tytułu „mistrzów" polskiej Filatelistyki są pp. mec. Marjan Niklewski z Torunia i dr. Józef Tislowitz z Krakowa. Oczywiście wystawa organizowana w Polsce będzie obejmowała zawsze przedewszystkiem znaczki emitowane na naszych ziemiach i Sąd Konkursowy musi oceniać najwyżej to, co w Polsce się najlepiej podoba, a np. fenomenalny zbiór Szwajcarji p. Kurta Schweikerta z Łodzi, który byłby zagranicą wyżej notowany, nie mógł tutaj zająć czołowego miejsca. W klasie znaczków pozaeuropejskich zainteresowanie Polaków jest, jak widzieliśmy, znakome, a tylko U. S. A. były 3-krotnie reprezentowane.

P. Marjan Niklewski otrzymał nagrodę honorową, puhar p. ministra Poczt i Telegrafów, inż. Emila Kalińskiego, a o rozmiarach



Nagroda honorowa pana ministra Poczt i Telegrafów„ ustanowiona z okazji 5-tej Ogólno-polskiej Wystawy Filatelistycznej w Warszawie.



Najnowszy znaczek szwajcarski z widokiem pałacu Ligi Narodów w Genewie.

jego całego zbioru może świadczyć to, że na wystawie znajdowały się tylko fragmenty. Oczywiście że „wydanie krakowskie" podziwiali widzowie przedewszystkiem ze zrozumiałem pożądaniem i wystarczy zaznaczyć, że p. Niklewski eksponował z tej jednej serji 86 pojedyńczych sztuk, 41 czworobloków, 8 parek, 60 listów i przekazów, 43 bloki i po jednym 6—, 10—, 12—, 14—, 15— i dwudziestopięcio-bloku na 62 kartach albumowych.

Ze zbioru dyr. Tislowitza, który był podstawą do badawczego opracowania znaczków emitowanych w Krakowie podziwiać należało nietylko najrzadsze odmiany i błędy druku, ale przedewszystkiem nadzwyczajnie przejrzysty układ, a także unikt w postaci 6-bloku niestemplowanego pierwszego palskiego znaczka. Doktorowi Tislowitzowi przypadła w udziale honorowa nagroda Muzeum Poczt i Telegrafów, przedstawiająca plakietę z motywem ostatniego bloku.

W klasie II — państwa sukcesyjne — nadzwyczajnie wartościowy zbiór zademonstrował p. dr. Maurycy Urstein z Warszawy, który posiada zapewne największy zbiór ogólny w Polsce, jednak tak olbrzymiego materjału nie można w ciągu całego życia opracować i obecnie zaznaczają się wyraźnie tendencje w kierunku specjalizacji. Pod tym względem stoi na najwyższym poziomie zapewne największy w świecie zbiór Litwy Kowieńskiej wystawiony w Warszawie przez pastora Adoma Plamscha z Grodna, obejmujący 310 (!) kart albumowych.

W zbiorach „nieregularnych", obejmujących tylko specjalne znaczki, ciekawemi eksponatami były komplety tak modnych obecnie bloków (dr. Marjan Płocki, Poznań) oraz znaczki sportowe (K. Nikolski — Warszawa), jak również falsyfikaty wystawione dla celów orjentacyjnych. Naturalnie i nasi junjorzy wzięli udział w wystawie, a przykład Tadeusza Iwaszkiewicza z Brześcia i Janusza Radwańskiego z Warszawy powinien zachęcić ich młodocianych kolegów do poważnego zainteresowania się filatelistyką.

Reminiscencje powystawowe będą dla nas tematem, który nieprędko zostanie wyczerpany, a chociaż jeszcze bezwzględnie nie zbliżamy się do poziomu takich wystaw, jak w Nowym Jorku i Paryżu, to jednak idziemy i w tej dziedzinie stale naprzód.

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI: Wp. K. W-K. Łowicz. W drodze wyjątku udzielimy listownej odpowiedzi.

PLACÓWKI DYPLOMATYCZNE W WARSZAWIE

VI.

AMBASADA AMERYKAŃSKA



Zewnętrzny wygląd pałacu Raczyńskich, w którym mieści się ambasada Stanów Zjednoczonych.



Na prawo: Klatkę schodową zdobią liczne portrety i piękne bronzy.

Amerykanie umieją być wdzięczni: Rzadka to właściwość w stosunkach między narodami. Kościuszko i Pułaski brali w swoim czasie wydatny udział w amerykańskich bojach niepodległościowych, a Pułaski zginął bohaterską śmiercią pod Savannah, składając życie w ofierze amerykańskim ideałom wolnościowym. Naród amerykański już wtedy rzekł: „Narodzie polski, ja ci tego nigdy nie zapomnę"!

I nie zapomniał. Nietylko przytulił do łona tysiące naszych emigrantów, dając im byt, a nawet dobrobyt, o którym w Ojczyźnie, rozdartej przez zaborców nawet marzyćby nie mogli, ale podczas wojny światowej odrazu stanął zdecydowanie na gruncie odrodzenia niepodległości Polski. Słynne „punkty Wilsona" stały się jedną z jej podwalin. Gdy zaświtała nam jutrzenka wolności, Ameryka znów pierwsza pośpieszyła z wydatną pomocą. Niezapomniana akcja charytatywna Hoovera, przyjazd misji Czerwonego Krzyża oraz YMCA dopomagały nam usilnie w pierwszych latach odbudowy naszej państwowości. Gdy zaś wróg ze Wschodu wznowił swe zakusy, przyfrunęła do Polski lotnicza „eskadra Kościuszki", z której kilku padło na polu bitwy za Polskę, kwitując tem krew przelaną przez Pułaskiego na ziemi amerykańskiej.

Całej akcji pomocniczej dla Polski patronował z całem poświęceniem pierwszy poseł St. Zjednoczonych Ameryki Północnej w Warszawie p. Hugh Gibson, znakomity dyplomata i bardzo wielki nasz przyjaciel, czego dał mnóstwo dowodów. Wręczył swe listy uwierzytelniające 2 maja 1919 r. i zamieszkał w Pałacu Błękitnym przy ul. Senatorskiej 37, własności ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego, gdzie mieściła się również kancelarja poselstwa. Niemal pięcioletni pobyt p. Gibsona w naszym kraju był znakomitem zapoczątkowaniem naszych stosunków dyplomatycznych, a rzadko się zdarza, by dyplomata był tak szczerze oddany krajowi, w którym pracuje, jak p. Gibson. Interesował się wszystkiemi przejawami naszego odradzającego się życia państwowego i był też opiekuńczym mecenasem wszystkich niemal gałęzi naszej sztuki. Po opuszczeniu Polski zajmował szereg innych ważnych placówek dyplomatycznych, ostatnio zaś po wieloletnim pobycie w Brukseli na stanowisku posła amerykańskiego, przeszedł na zasłużoną emeryturę.

Niedługo zabawił w Polsce jego następca dr Alfred Pearson. Wręczył swe listy uwierzytelniające 26 lutego 1924 r. i urzędował w Warszawie tylko półtora roku. Za jego czasów poselstwo mieściło się przy ul. Pierackiego 3, on sam zaś rezydował w apartamencie przy al. Róż 6. Tam też początkowo zamieszkał przed podniesieniem posel-



Fragment salonu z wspaniałym portretem pendzla Vigée Lebrun i komodą w stylu Ludwika XV.



Na lewo: „Salon czerwony" odznacza się pięknemi gobelinami i cennem umeblowaniem.

stwa do rangi ambasady — p. John B. Stetson jr., który wręczył swe listy uwierzytelniające 29 lipca 1925 r. i rozpoczął erę niezawodowych przedstawicieli dyplomatycznych St. Zjednoczonych w Warszawie. Byli to już jedynie bardzo zamożni przemysłowcy, znajdują się na liście największych potentatów pieniądza w całych St. Zjednoczonych. Pierwszy z nich p. John Cudahy wręczył swe listy uwierzytelniające 6 września 1933. Nowy ambasador uznał pałac hr. Potockich za zbyt wielki dla swej rezydencji, ambasador warszawskiego korpusu dyplomatycznego, zaledwie pół roku temu bowiem skończył 40 lat. Jest zarazem najbogatszym, bo pochodzi z rodziny miljonerów. Ożenił się zaś również bogato, gdyż z córką miljardera. Zgóry można go nazwać także naj-





Od lewej: J. E. ambasador Stanów Zjednoczonych Drexel-Biddle wraz z małżonką i wiernym dogiem „O.K.". — Fragment sali balowej, utrzymanej w stylu Ludwika XVI, o finezyjnych malowidłach ścian.

dla których warszawska placówka dyplomatyczna była pierwszą i ostatnią. Zresztą, tak bywało w tym czasie z większością ambasadorów i posłów St. Zjednoczonych na całym świecie.

Więc np. p. Stetson był synem potentata przemysłu kapeluszniczego. Jego imieniem nazwano nawet specjalne rodzaje kapeluszy o szerokich rondach, przypominające meksykańskie „sombrero". Sam też brał udział w zarządzaniu zakładami przemysłowemi, które potem odziedziczył i wrócił do nich po jednak prawie pięcioletniem urzędowaniu w Warszawie. W trakcie tego poselstwo amerykańskie wyprowadziło się z zajmowanego lokalu do nowowybudowanego dużego domu przy al. Ujazdowskiej 9, a apartamenty prywatne posła zostały przeniesione z al. Róż na ul. Świętojańską do pałacu Kościelskich.

W r. 1930 poselstwo amerykańskie zostaje przekształcone w ambasadę. Pierwszym ambasadorem został 24 maja 1930 r. p. John N. Willys, wybitny reprezentant przemysłu automobilowego. I jego nazwisko używane jest, jako nazwa samochodów „Willys-Knight". Po skończeniu urzędowania w Warszawie p. Willys wrócił do swego przemysłu. Był w Polsce o połowę krócej, niż jego poprzednik — dwa i pół lat. Przyzwyczajony do wielkiego rozmachu (był to bowiem jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce), nie chciał rezydować w pałacyku na Świętojańskiej i odnajął na swój apartament prywatny piękny wielki pałac hr. Potockich przy ul. Krakowskie Przedmieście 15. Kancelarję ambasady zaś przeniósł do sąsiadującego z nią pałacu hr. Sobańskich przy al. Ujazdowskiej 11, gdzie poprzednio mieszkał p. Charles Dewey, kilkoletni doradca finansowy.

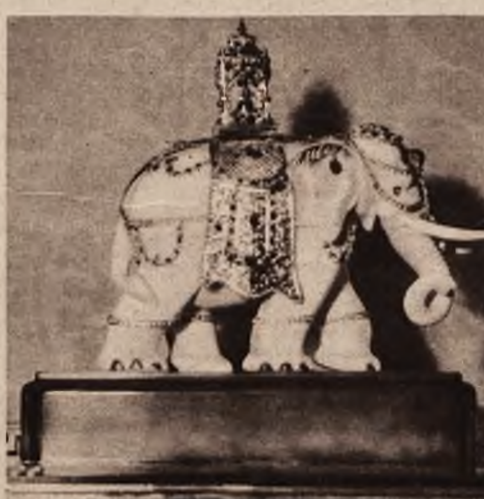
Zaledwie na krótko przybył następnie do Warszawy p. Ferdynand Lamotte Belin, zawodowy dyplomata. Ale też długo nie zabawił. Wręczył swe listy uwierzytelniające w grudniu 1932 r., a po trzech miesiącach już został odwołany, wtedy bowiem prezydentem St. Zjedn. obrany został p. Roosevelt — z innego stronnictwa, niż p. Belin. Jest zaś tak przeważnie, iż przy zmianie prezydenta amerykańscy przedstawiciele dyplomatyczni składają swój urząd i albo wracają, albo — częściej — nie, zwłaszcza, gdy nie należą do stronnictwa, które zwyciężyło podczas wyborów.

Poziom placówki dyplomatycznej Ameryki w Warszawie znacznie się podniósł po dwóch następnych ambasadorach, którzy również zwłaszcza, iż przyjmował rzadziej, małżonka jego bowiem bardzo rzadko zaglądała do Warszawy. Wrócił więc do pałacyku Kościelskich na Świętojańskiej. Warto stwierdzić, że jednak p. Cudahy po Warszawie nie wystąpił ze służby dyplomatycznej. Został posłem amerykańskim w Dublinie. Jest to niezmiernie ważna placówka dla Ameryki, biorąc pod uwagę ogromną ilość Irlandczyków w Ameryce. P. Cudahy zdziałał bardzo wiele dla zacieśnienia węzłów gospodarczych i innych między naszemi krajami... A że był ujmujący w obejściu i... bardzo przystojny mężczyzna w sile wieku, więc cieszył się w Warszawie powszechnemi sympatjami.

Obecny ambasador St. Zjedn. Amer. Półn. w Warszawie p. Antoni Józef Drexel-Biddle w ciągu mijającego właśnie wkrótce roku swego urzędowania (wręczył swe listy uwierzytelniające 2 czerwca 1937 r.) pobił bezsprzecznie wszystkie rekordy pozyskiwania sobie ludzi. Dobiega 20 lat, jak Warszawa ma znów po półtorawiekowej przerwie swój korpus dyplomatyczny. Wszystkich dyplomatów, jacy przez ten czas przewinęli się przez Warszawę, znałem dobrze i stykałem się z nimi często. Twierdzę z całą stanowczością, że nikt nie zdołał stać się tak szybko i tak ogólnym „ulubieńcem stolicy", jak p. Drexel-Biddle.

Ale to jeszcze nie wszystkie rekordy pana ambasadora. Jest to najmłodszy wiekiem

Słoń z kości słoniowej, wysadzany drogiemi kamieniami stanowi chlubę zbiorów dzieł sztuki ambasadora U. S. A.





Rokokowa lektyka włoska jest jednym z najciekawszych zabytków pałacu Raczyńskich.

lepiej... ubranym, gdyż przed rokiem zaledwie Związek Krawców Stanów Zjednoczonych obdarzył go godnością najlepiej ubranego mężczyzny całej Ameryki. Były dwie kategorje: dla artystów i „cywilów". — W pierwszej kategorji uzyskał to miano znany gwiazdor filmowy Clark Gable, a w drugiej ambasador U. S. A. w Warszawie. Zresztą jest „cywilem" niekompletnym: brał udział w wojnie światowej jako ochotnik, i stopniowo awansując, został nawet już jako kapitan — adjutantem generała, dowodzącego 14-tą dywizją. Jest również cenionym sportowcem, zwłaszcza, tenisistą. Był w latach 1934 i 1935 kapitanem drużyny amerykańskiej, grającej przeciw Anglji i Francji o „Bathurst Cup" (równoznacznik puharu Davisa — na krytych kortach). Sam także grywał w tych zawodach, zdobywając mistrzostwo Francji na krytych kortach.

Pochodzi z cenionej rodziny o wielkich tradycjach wojskowych i finansowych. Jego przodek William Biddle wyemigrował z Francji do Ameryki w r. 1631. Płk. Clement Biddle był kwatermistrzem generalnym sztabu Jerzego Washingtona i twórcą pierwszej konstytucji stanu Pensylwanja. Kpt. Mikołaj

Biddle dowodził amerykańskim okrętem wojennym „Randolphem" w r. 1778. Jego imiennik Mikołaj Biddle był w r. 1822 prezesem Banku Stanów Zjednoczonych. Wreszcie Antoni J. Drexel i Franciszek Drexel byli założycielami wielkiego „Drexel-Bank" w Filadelfji, gdzie właśnie nasz ambasador się urodził.

Pracował przez szereg lat w przemyśle kopalnianym. Następnie studjował systemy policyjne licznych państw europejskich z ramienia waszyngtońskiego „Federal Bureau of Investigation", którego dyrektorem jest Edgar J. Hoover. Przed trzema laty p. Drexel został posłem amerykańskim w Oslo, gdzie zaprzyjaźnił się serdecznie z posłem R. P. Neumanem, obecnie już dziekanem korpusu dyplomatycznego w Oslo i — jak mi nieraz mówił p. Biddle — niezmiernie tam lubianym i bardzo wysoko cenionym.

Trudno opisać, jak bardzo ujmującym i przemiłym człowiekiem jest p. Drexel-Biddle. Zawsze wesoły i pogodny, mający sobie za stałą zasadę „keep smiling" („bądź uśmiechnięty"), jest absolutnie pozbawiony wszelkiej pychy, właściwej bogaczom i sztywności — dyplomatów.

Równie sympatyczną jest pani ambasadorowa, jak już wspomnieliśmy, córka jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce i będąca nietylko damą w całem tego słowa znaczeniu, ale i szczerze amerykańską „business-woman", osobiście zarządzającą swemi ogromnemi majętnościami w Ameryce i kierującą niemi z Warszawy przy pomocy kilkoosobowego sekretarjatu. Sekretarką pp. ambasadorostwa do spraw towarzyskich jest Rena hr. Czosnowska, sprawująca ten sam urząd, zresztą i przy poprzednich ambasadorach St Zjednoczonych.

P. Drexel-Biddle postarał się, by ambasada amerykańska zajęła najpiękniejsze pałace stolicy. Więc biura ambasady przeniósł do pałacu ś. p. Albrechta ks. Radziwiłła, ordynata nieświeskiego przy al. Ujazdowskiej 29. Sam zaś zaraz po przyjeździe, jako że było lato, rezydował z małżonką w pałacu Józefowej hr. Potockiej w Natolinie pod Wilanowem. Przez ten czas zaś meblował sobie na swój gust pałac Edwarda hr. Raczyńskiego, obecnego ambasadora R. P. w Londynie, przy Krakowskiem Przedmieściu 5. W pałacu tym ostatnio zamieszkiwał minister Beck z małżonką przed przeprowadzką do apartamentów reprezentacyjnych MSZ w przebudowanym świeżo pałacu Brühlowskim na pl. Piłsudskiego. Wtedy jeszcze było tam pełne umeblowanie hr. Raczyńskich. obecnie już jest przeplatane meblami pp. ambasadorostwa, którzy wiele trudu włożyli w urządzenie salonów reprezentacyjnych ambasady. własnym sumptem chcąc ją postawić na najwyższym poziomie, sprowadzając z Paryża ręcznie malowane tapety, zakupując moc antyków i cennych obrazów muzealnych, historycznych gobelinów itd.

W ub. karnawale ambasadorostwo Drexel-Biddle wydali swój pierwszy bal, który przewyższył pod względem przepychu wszystko, co pod tym względem widziano w Warszawie w ostatnich latach. Bal ten był zarazem uczczeniem zaofiarowania ambasadorowi Biddle tytułu doktora „honoris causa" uniwersytetu filadejfijskiego.

Podczas tego balu zwracały ogólną uwagę ozdoby kwiatowe. Stosy kwiecia, sprowadzanego samolotami z południa Francji czyniły z salonów ambasady jakby baśniowy wirydarz. Podziwiano, zwłaszcza, wspaniałe okazy ponsowych „amaryllis" o imponujących kielichach lilji. Nagromadzenie kwiatów imponowało, zwłaszcza, w sali balowej, gdzie w każdym kącie piętrzyły się do sufitu obfite „arrangements" kwietne azalij o różnych odcieniach, przetykane kielichami rozkwitłych tulipanów.

Obejrzyjmy wnętrze ambasady: najpierw wchodzi się do hallu, który, jak również cała klatka schodowa pełna jest portretów rodowych i innych, własności hr. Raczyńskich. Na lewo np. widzimy stary konterfekt, na którym czytamy „Nicolaus Krasiński, castellanus malogostensis". Na prawo — zabytkowa lektyka, misternej włoskiej roboty. Idąc na prawo, mijamy szatnię, by wejść do poczekalni, w której widzimy wśród obrazów jeden szczególnie piękny, a przedstawiający „Elekcję na Woli", pędzla Canaletta, stamtąd zaś już droga wiedzie do imponującego „czerwonego salonu", gdzie ściany pokryte są czerwonym jedwabiem, a meble w stylu Ludwika XV — wytłaczanym pluszem tejże barwy. Wielkie gobeliny zdobią go, a na stolikach — moc pięknych drobiazgów oraz tenisowe „trofea" p. ambasadora w postaci srebrnych kaset do papierosów. W tym salonie przebywają pp. ambasadorostwo po obiedzie, siadując wraz z dogiem przy kominku.

Wspaniałe gobeliny francuskie dały nazwę jednemu z salonów ambasady.

Wszystkie zdjęcia: Fot. „As".



Obok jest ogromna bibljoteka, gdzie w mahoniowyrh szafach widzimy moc „białych kruków" bibljograficznych oraz drogocenne wykopaliska egipskie, kolekcjonowane przez ambasadora, jak również rzadki zbiór kamieni, któreby zainteresowały najbardziej wymagającego specjalistę.

Przechodzimy zkolei do małego saloniku „gobelinowego", w którym pp. ambasadorostwo umieścili wszystkie własne gobeliny. Największy gobelin całościenny — to dar ślubny dla Delfina, jak można sądzić z napisu.

Dwa stołowe pokoje, jeden duży, dla większych obiadów proszonych, drugi mały dla mniejszego grona, mają piękne stoły dębowe. Mniejszy ma imponujące marmurowe ściany. Łączy się z salą balową, całą białą z wymalowanymi zniczami na ścianach. W jednym z kątów estrada dla orkiestry, otoczona półokrągłą balustradą. Oczywiście obecnie już tam orkiestra nie zmieściłaby się, to też podczas omówionego już balu estradka była wypełniona dekoracjami kwietnemi, sięgającemi sufitu.

Marmurową klatką schodową, ozdobioną staremi obrazami i rzeźbami udajemy się teraz na pierwsze piętro. Z lewej strony — pokój, w którym trzy wielkie szafy mieszczą bezcenne zbiory porcelany hr. Raczyńskich. Przeważa tu porcelana chińska, jest jednak również sporo miśnieńskiej, sewrskiej i in.

Z prawej strony — salon Louis XV, a w nim moc cennych dzieł sztuki pp. ambasadorostwa. Meble, wyściełane szarawo-niebieskim jedwabiem. Wspaniały dywan „Savonnerie". Na jednej ze ścian — oryginał słynnej Vigée Lebrun, będący portretem „Duchesse de Polignac". Obok jest sportretowana „Duchesse de Nivernais", a malował ją François le Troy. Wszystkie lampy są z drogocennego „jade". Kilka starych zegarów francuskich i luster staroweneckich. Stary sztych przedstawia „Msgr. le comte d'Artois, colonel des Suisses et Grisons" Ale chyba najbardziej drogocenny jest słoń hinduskiej roboty, cały z kości słoniowej, ozdobiony złotemi przybraniami, wysadzanemi mnóstwem drogich kamieni: rubinów, szafirów, turkusów, opalów, topazów, aleksandrytów i in.

Druga część apartamentów pierwszego piętra zawiera pokoje gościnne: dwie sypialnie i jeden salon bawialny. Obie sypialnie mają ręcznie malowane w Paryżu tapety: jedna „w drzewka", a druga „w obicia", będące łudzącą imitacją obić z frendzlami. Meble są tu „Chippendale", ale nie brak również Ludwików XV i XVI. Każda sypialnia ma małe bibljoteczki. zawierające jednak pokaźną ilość lektury.

Wiele pięknych rzeczy zawiera również bawialny pokój gościnny, t. zw. „guests sit-

Dokończenie na str. 31-ej.

Niezwykle oryginalne i kosztowne obicie ścian harmonizuje w pokoju sypialnym z stylowemi, białemi meblami.



Fragment salonu, utrzymanego w stylu Ludwika XV; ściany zdobią obrazy dawnych mistrzów.



L. ŻYCKI - MAŁACHOWSKI

KOMETA

NOWELA

Motto:
Kometa czasem wojny,
czasem wróży kłótnie.
Adam Mickiewicz.

Lord Peacock, prime minister imperjum brytyjskiego, czuł się tego dnia dziwnie zdenerwowany. Nie uczyniły tego owe tłumy, manifestujące przed jego pałacem i wykrzykujące bez przerwy: Niech żyje wojna! Nie zdenerwowała go nawet niespodziewana opozycja najmłodszego członka jego gabinetu, wytwornego lorda Edenberry.

To wszystko nieraz w swem życiu przechodził i nigdy, nawet na moment, jego nerwy nie zadrgały. Nie napróżno nosił nazwę najbardziej zrównoważonego człowieka w połączonem Królestwie.

Lecz teraz czuł się dziwne nieswój. Analizował swój stan z ciekawością, gdyż go nigdy nie doświadczał. Czuł się, jakby po wielkich ilościach whisky, lecz nie — to było nie to samo.

Krew kipiała w żyłach dziwnym rytmem i budziła jakieś nieokreślone uczucia, podobne uczuciom myśliwego, stojącego na swem stanowisku z gotową do strzału bronią, i czekając na grubego zwierza.

— Sir! — szepnął za jego plecami cichy, układny sekrtarz. — Zgłaszają się do telefonu nasz ambasador z Berlina i profesor Wilkox z Edinburga.

Prime minister zerwał się z młodzieńczą prawie żywością.

— Będę mówił z ambasadorem, to krótko potrwa! Niech profesor się nie rozłącza i zechce poczekać chwilę!

Za chwilę trzymał w ręce słuchawkę, słuchając urywanego, zadyszanego głosu ambasadora berlińskiego.

— Źle jest, — mówił ambasador — jesteśmy w przededniu wojny. Na ulicach demonstrują tłumy, wołając „Nach Paris". O nas narazie nie mówią nic, ale wojna z Francją wybuchnie prawdopodobnie w tych godzinach.

— Dosyć! Więcej mi nie potrzeba! — zawołał z uniesieniem, które go dziwiło, lord Peacock. — Niech wasza ekscelencja natychmiast wypowie w naszem imieniu wojnę! I proszę zaraz żądać paszportów! Nie mamy na co czekać!

— Ależ... możeby jeszcze dało się... pokojowo... — bąkał z tamtej strony drutu ambasador.

— Nic się nie da zrobić. Powiedziałem! Proszę mój rozkaz wykonać! — zawołał impetycznie pierwszy minister, przerywając rozmowę.

Nie zajmując się już ambasadorem, sięgnął zkolei po drugą słuchawkę.

— Hallo! Czy to ty, old boy?

— No, naturalnie, że ja. Czy spodziewałeś się usłyszeć kogoś innego? — odezwał się w słuchawce trochę drwiący głos profesora Wilkoxa.

Sławny profesor i premjer o żelaznych nerwach, byli kolegami od najwczesniejszych lat młodości. Razem przeszli przez Eton, razem baraszkowali w Oxfordzie i w jednym czasie zrobili karjerę.

Tylko, że karjera prof. Wilkoxa, słynnego astronoma i autora pasjonujących książek o wszechświecie, toczyła się innemi drogami, niż karjera polityczna lorda Peacocka. Lecz koleżeństwo ich przetrwało przez długie lata i ci dwaj zawsze cieszyli się, gdy mogli ze sobą porozmawiać.

— Słuchaj, Joe — kontynuował profesor. — Przyjeżdżaj natychmiast do mnie. Jeśli możesz, to aeroplanem, gdyż sprawa jest bardzo pilna.

— Ależ człowiecze, przed chwilą wypowiedziałem wojnę Niemcom. Czyż ja mam czas w tej chwili na spacery?

— Już wypowiedziałeś? Obawiałem się, że nie zdążę. Ale mimo to przyjeżdżaj natychmiast. Od tego zależą losy imperjum a może nawet i świata.

Lord Peacock chciał jeszcze pytać, ale po tamtej stronie z impetem odrzucono słuchawkę. Nie było na co czekać. Wilkox nie rzucał słów na wiatr. Jeżeli uważał, że jego obecność jest potrzebna, to nie należy zwlekać, tylko natychmiast jechać.

Szczęściem, że nie potrzebował udawać się na lotnisko. Na dachu jego domu, specjalnie na ten cel przebudowanym, stało gotowe do odlotu autożyro.

Lord był dobrym lotnikiem, a jego autożyro ostatnim wyrazem techniki, więc już po godzinie wysiadał przed obserwatorjum uniwersyteckiem w Edynburgu.

Dostrzeżono go natychmiast i sam profesor Wilkox wybiegł na jego spotkanie.

— Przedewszystkiem — zawołał — zażyj tę pigułkę.

I podsunął mu pod sam nos złote pudełeczko z niewielkiemi, szaremi pigułkami.

— Poco? Nie mam migreny! — żachnął się lord Peacock.

— To nie przeciwko migrenie. Zresztą, niema czasu na objaśnianie.

Machinalnie prawie lord Peacock zażył pigułkę i wbiegł do znanego mu gmachu obserwatorjum.

W dolnych salach dostrzegł niezwykły ruch. Sale te, skupiające tylko od czasu do czasu studentów, wyglądały obecnie, jak fabryka. Jakieś maszyny, ludzie w białych kitlach, skupieni przy długich stołach i czemś gorączkowo zajęci, to podobieństwo podkreślali.

— Co się tutaj dzieje?

— Wyrabiamy tutaj pigułki, takie same, jak ta, którą przed chwilą połknąłeś. Ale à propos, czy ci nic nie pomogła? To znaczy, czy nie czujesz w sokie jakich zmian?

Z lordem Peacockiem działo się rzeczywiście coś dziwnego. Chwycił się bowiem za głowę i począł jęczeć: — co ja narobiłem!... co ja narobiłem!...

— Z tem wypowiedzeniem, prawda? To i bez tego byłoby nastąpiło. Tutaj niema twojej winy. Chodź do mnie na górę, zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Poszli na piętro, gdzie mieścił się gabinet profesora i zajęli miejsca w wygodnych, klubowych fotelach.

Profesor zadzwonił. Zjawił się młody student-asystent.

— Mój kochany Jamesie, otwórz kasę ogniotrwałą i podaj mi przesyłkę ż gwiazd.

Student kiwnął głową ze zrozumieniem, wziął od profesora klucz i po chwili stawiał przed ministrem na stole jakiś dziwny przedmiot, kształtu pocisku armatniego, wykonany z metalu błękitnego, jak szafir.

— Ten pocisk spadł z jakiejś planety, którą mi trudno ustalić, lecz spadł w moim ogrodzie, tak celnie, że od samego początku byłem pewny, że jest specjalnie dla mnie przeznaczony — rzekł profesor. — Proszę cię, obejrzyj go dokładnie.

Lord Peacock obejrzał pocisk z ciekawością. Gdyby nie dziwny, błękitny kolor materjału, z jakiego został wykonany, nic nie wskazywałoby na to, że jest on gościem z innego świata.

— A teraz otwórz go — Jamesie!

Student coś nacisnął na powierzchni pocisku, który otworzył się jak skorupa małża. Wewnątrz ukazały się dwie szkatułki, wykonane z podobnego metalu, jak pocisk, tylko o jaśniejszym odcieniu. Profesor Wilkox wziął do ręki jedną z nich i otworzył. Wewnątrz znajdowały się dwa arkusze, wykonane z giętkiego, szarobiałego metalu. Pokryte były jakiemiś rysunkami i znakami.

— Toż to przecież nasz system planetarny! — zawołał lord, przyglądając się jednemu z rysunków.

Na rysunku bowiem zupełnie łatwo można było rozróżnić słońce z krążącemi wokół niego planetami.

— Czy nic cię w tym rysunku nie uderza? — zapytał profesor.

— Chyba to, że ziemia jest naznaczona inną barwą, niż pozostałe planety.

— I to wszystko?

— Zaraz. Tu jest linja, prowadząca od ziemi poza system planetarny. Aha i na przedłużeniu tej linji — kometa.

— Właśnie. Tutaj kryje się źródło niebezpieczeństwa, o którym chcą nas przestrzec mieszkańcy jakiejś planety. Nie wiem której, gdyż na rysunku nie zaznaczono tego. Może nasi dobrodzieje chcą zachować incognito. Ale niema czasu na zastanawianie się nad tem, kto nam przesyła ostrzeżenie. Istotnie, nadciąga z głębi wszechświata jakaś kometa, jakiej jeszcze nie znamy. Nadciąga z niesłychaną szybkością, gdyż dorównuje tą szybkość prawie szybkości światła.

Pięć dni temu otrzymałem ową przesyłkę międzyplanetarną, a dopiero przedwczoraj dostrzegłem ową kometę. Badając ją, zrozumiałem, że grazi ona niebezpieczeństwem i to niebezpieczeństwem zupełnie nieznanem naszej ziemi. Analiza spektralna wykazała u niej jakiś zupełnie nieznany skład chemiczny; prawdopodobnie gazy, z których się składa kometa, są trujące. Jej wpływ już teraz zaczyna się złowrogo zaznaczać. To podniecenie, jakie na ziemi od dwóch dni daje się spostrzec, ten nagły wybuch namiętności i wzrost antagonizmów, który tobie kazał wypowiedzieć wojnę Niemcom, a który sprawia, że wszędzie w obecnej chwili na ziemi ludzie poczynają się mordować dla najbłahszych przyczyn — to jej wina.

— Boże! to straszne! Czy nie ma już ratunku?

— Właśnie, że jest! Naturalnie, że jest! — Przecież nie napróżno przysłano mi ów pocisk z głębi wszechświata. Weź do ręki drugi rysunek!

— To coś wygląda na formułki chemiczne — rzekł lord.

— Bo też to są wzory chemiczne. Wprawdzie język tych symbolów jest dla nas zupełnie niezrozumiały, ale budowa atomowa jest pokazana tutaj w zupełnie taki sam sposób, jak i u nas na ziemi. James, który jest swego rodzaju genjuszem chemji, odcyfrował te wzory i przetłumaczył je na język ziemski. To on jest twórcą tych pigułek, które na dole wyrabiają.

— No, nie było to tak trudne — tłumaczył się z uśmiechem zażenowania młody student — przecież załączyli próbki składników, które było bardzo łatwo zidentyfikować.

— Czy to takie pigułki, jak ta, którą połknąłem? — spytał lord, zaczynając pojmować.

— Tak, zupełnie te same...

— I one uchronią świat przed niebezpieczeństwem komety?

— Tego nie wiemy. W każdym razie w tej chwili pomagają i usuwają to dziwne podniecenie i żądzę krwi, jaka pod wpływem komety ludzi ogarnia. Ale należy przypuszczać, że na to przysłano nam ich wzór, żeby ludzkość uratować od zagłady.

— Więc niema ani chwili czasu do stracenia! Trzeba działać! Masz do dyspozycji swojej Brytyjskie Radjo i nadaj jakiej chcesz treści komunikaty. Tak samo trzeba natychmiast zorganizować na wielką skalę fabrykację pigułek. Na tem to nawet będzie można nieźle zarobić. Przecież to brytyjski patent.

Ale młody student zaprotestował bardzo gorąco.

— Niema czasu na fabrykowanie i sprzedawanie moich pigułek — rzekł. — Tutaj trzeba natychmiast podać przez radjo we wszystkich kulturalnych językach dokładną receptę na ich wyrób.

— Dlaczego? Tak za darmo? — żachnął się lord.

— Tak! Trzeba natychmiast ratować całą ludzkość.

— Ludzkość, to my!

— Daruje pan, milordzie. Ja nie jestem Anglikiem.

— Oh, sorry. A jakiej pan narodowości?

— Jestem Polakiem, ale w tej chwili myślę o całej ludzkości.

— Więc dobrze, róbcie jak chcecie. Rząd brytyjski was poprze.

Wojna już się zaczęła w kilku najbardziej „newralgicznych" miejscach globu. Huk armat rozlegał się zarówno w Europie, jak i na Dalekim Wschodzie.

Lecz na ostudzenie zapału wojennego wpłynęły komunikaty radjowe o komecie, niosącej ziemi śmierć. Fronty pękły nagle jak naciągnięta zbytnio struna i bandy żołnierzy-dezerterów rozpełzły się po wszystkich krajach, mordując i grabiąc.

Kometa stała teraz nad horyzontem, wielka i groźna. Stała, jak zadowolony sprawca tylu katastrof, patrząc na planetę, na której wiły się w mękach namiętności miljony ludzi.

Między tymi nieszczęśliwymi miljonami uwijali się ochotnicy służby ratowniczej i rozdzielali pigułki, które tak dziwnie uspakajały.

Kto zażył taką pigułkę, był uratowany. — Lecz wielu nie chciało ich, bo ktoś puścił zbrodniczą pogłoskę, że każdy, kto zażyje taką pigułkę, musi zginąć.

Więc wypadki mordowania ochotników służby ratowniczej zdarzały się aż zbyt często.

A tymczasem kometa tak, jak się szybko pojawiła, tak szybko znikła. Przeleciała obok ziemi, zatruwając ją swym oddechem i znów przepadła w przepaściach wszechświata.

Na ziemi zwolna wracał dawny ład i porządek. Uprzątano gruzy i odbudowywano spalone miasta.

Ziemia stała się teraz dziwnie pusta. Przeszło pół miljarda ludzi jednak zginęło.

I tylko świat roślinny i zwierzęcy dziwnie słabo zareagował na truciznę komety. Jedynie niektóre gatunki drapieżników, odżywiające się wyłącznie mięsem, wyginęły. Reszta przeszła przez kataklizm zupełnie dobrze.

Lecz teraz zaczęło się dziać inaczej, niż w owych czasach, gdy ludziom było za ciasno.

Potężne wynalazki ułatwiły ludziom życie, a brak rąk do pracy sprawił wielkie jej poszanowanie.

Ludy ziemi zawarły ze sobą wieczyste przymierze, a na czele federacji ludów ziemi stanął ów student z pracowni profesora Wilkoxa, Jakób Płomieńczyk.

—o—



WYCIECZ
MAJOW
FOT. dr. P. WOL

TAJEMNICZA
PRZYRODA AUSTRALJI



„Lirogon wspaniały" jest jednym z najciekawszych reprezentantów fauny australskiej.





Od lewej: Dziobak zamieszkuje Australję południowo-wschodnią i Tasmanję. — Kolczatka, która obok dziobaka jest jedynem ssącem zwierzęciem posiadającem dziób, żyje w Australji, na Nowej Gwinei i w Tasmanji.

Australja, której obecnie prasa całego świata, a zwłaszcza prasa angielska, Stanów Zjednoczonych Amer. Półn. i Japonji poświęca w licznyh artykułach wiel uwagi z okazji 150-ej rocznicy jej odkrycia i objęcia przez Koronę Brytyjską, stanowi niezwykle ciekawy obszar pod względem przyrodniczym. Dzięki swej przeszłości geologicznej, a mianowicie wskutek izolacji od innych lądów w ostatnich okresach, trwających całe miljony lat, posiada ona odrębny charakter świata roślin i zwierząt. Nie tylko wiele gatunków i rodzajów, lecz nawet całe grupy roślinne i zwierzęce — to osobliwość australska, niespotykana gdzieindziej w świegał świat naukowy, a zwłaszcza palentolocie. Niektóre z form tu występujących dawno wymarły w innych krajach i tam znane są jedynie ze szczątków kopalnych. Ten odrębny, osobliwy charakter przyrody lądu australskiego oddawna interesował i przyciągał świat naukowy a zwłaszcza paleontologów, botaników i zoologów.

Kontynent Australji, której powierzchnia stanowi 3/4 Europy, posiada charakter dosyć jednostajnej wyżyny kotlinowatej, niewiele tylko urozmaiconej wyższemi wzniesieniami. Największe z nich to szumnie tak nazwane „Alpy Australskie", zajmujące południ.-wschodnią część Australji, chociaż nie przypominają one swym charakterem wysokich i śmiałych wzniesień alpejskich i nie dosięgają naszych najwyższych szczytów tatrzańskich. Najwyższym szczytem Alp Australskich jest Góra Kościuszki (2241 m). Nazwa ta nadana została przez znanego podróżnika i badacza Pawła Edmunda Strzeleckiego (1796—1873), który wiele lat spędził w Australji. Jego zasługą było odkrycie australskich pokładów złota i zwrócenie uwagi na wielką wartość stepów, rozciągających się na południe od Alp Australskich dla rolnictwa i hodowli bydła. Jego monografja o Nowej Południ. Walji przez długi czas była najlepszą monografją tej krainy.

Kontynent australski znajduje się w całości na półkuli południowej. Rozpoczyna się blisko równika, ciągnąc się aż do 40° szer. geograf. południ. Połowa też Australji posiada klimat tropikalny, reszta przypada na klimat subtropikalny, przypominający klimat Sycylji czy Algieru, a tylko w obszarze Alp Australskich i części krainy Gippsland panuje klimat umiarkowany.

Australja to jeden z najsuchszych obszarów na świecie. Nie posiada ona dużych rzek, a całe olbrzymie wnętrze o powierzchni 4 miljonów kilometrów kwadr. — to obszar bezodpływowy, nie wysyłający do oceanu ani jedenj rzeki. Wiele z rzek australskich posiada charakter okresowy: przez okresy kilku nieraz miesięcy wysychają one zupełnie, by zpowrotem w czasie obfitych deszczów napełnić się wodą. Niektóre z rzek australskich nie dochodzą wogóle do morza. W połowie drogi między źródłami a oceanem gubią się one w piaskach czy w bagnach lub uchodzą do słonych jezior bezodpływowych. Jednym z największych takich jezior jest jezioro Eyre'a o pow. 10.000 km², wchodzące w skład całej gromady słonych jezior rozmaitej wielkości, otaczających północną część gór południ.-australskich. Zwierciadło tego solankowego jeziora leży około 10 metrów poniżej poziomu morza. Jest to gęsta solanka, pokryta na powierzchni grubą warstwą soli. Jeszcze większem jeziorem słonem jest jezioro Torrensa o dług. 200 km. Jeziora słodkowodne są na kontynencie australskim rzadkością.

Największą rzeką Australji jest rzeka Murray, wypływająca z półn. zach. stoków Alp Australskich, zwana nieco przesadnie Nilem australskim. Jej dorzecze obejmuje ponad 900.000 km², a więc obszar dwukrotnie większy od Polski. Wraz ze swymi dopływami, z których największym jest Darling, zbiera Murray wszystkie wody z wewnętrznych stoków południ. wsch. Gór australskich. W przeciwieństwie do innych rzek, które przeważnie są krótkie i rzadko tylko nadające się do żeglugi, rzeka Murray jest już w górnym swym biegu żaglowna. Posiada ona również znaczenie dla nawodnienia tych obszarów, przez które przepływa, dzięki czemu właśnie otrzymała swą nazwę „Nilu australskiego".

Świat roślinny Australji posiada swój odrębny specyficzny charakter, wywołany izolacją tego kontynentu od jakich 30 miljonów lat, jak i wskutek suchego i gorącego klimatu. Odnosi się to zwłaszcza do części południowej, ponieważ w północnej występują domieszki form indyjskich, których nasiona mogły tu zostać przyniesione przez wiatry, prądy czy ptaki. Roślinność australska składa się przeważnie z takich form, które mogą przetrwać długotrwałe posuchy, a którym z drugiej strony nie zaszkodzą nagłe, nieraz ulewne opady. Przewagę stanowią drzewa i krzewy w przeciwieństwie do innych obszarów tropikalnych, gdzie dominuje dżungla o bujnem podszyciu. Lasy australskie nie posiadają charakteru puszczy tropikalnej. Nie są one gęste, a drzewa mają stosunkowo niewiele liści o niezbyt wielkich rozmiarach, które często dla ochrony przed palącymi promieniami słońca zwrócone są pionowo.

Wskutek długotrwałej izolacji tego kontynentu żyją tu niektóre rośliny, które gdzieindziej dawno wymarły i znane są tylko z resztek kopalnych. Na 10.000 znanych roślin australskich około 5/6 przypada na formy charakterystyczne dla lądu australskiego, nieznane gdzieindziej.

Charakterystycznemi drzewami są eukaliptusy, czyli rozdręby, wchodzące w skład większości lasów Australji. Są to wysokie drzewa, które rozgałęziają się dopiero wysoko w górze. Wśród licznych gatunków najwyższym jest eukaliptus olbrzymi, jedno z najwyższych drzew świata. Drzewo to dochodzi niekiedy do 160 metrów wysokości, a więc podwójnie przekracza wysokość wieży Kościoła Marjackiego w Krakowie. Sam pień prosty, nierozgałęziony, wyrasta zwykle na wysokość 60 metrów, co nadaje specjalny charakter lasom australskim. Nie wszystkie naturalnie eukaliptusy są takiemi olbrzymami. Wiele gatunków odpowiada wielkością naszym sosnom czy dębom. Są wreszcie i takie, które rosną jako niskie krzewy, tworzące zbite zarośla, zajmujące niekiedy całe tysiące kilometrów kwadrat. Są one jeszcze trudniejsze do przebycia, aniżeli nasza kosodrzewina w Tatrach i doświadczeni podróżnicy nigdy nie próbują przedostać się przez nie, woląc raczej znacznie nadłożyć drogi i okrążyć je.

Poza eukaliptusami, których w Australji i na Tasmanji rośnie około 160 gatunków, najbardziej typowemi drzewami dla Australji są akacje, występujące tu w nonad 300 gatunkach. Ciekawemi roślinami są również rzewnie, czyli kazuaryny (Casuarina), najpierwotniejsze z roślin dwulistnych.

Rzadkie lasy australskie, zwykle bez podszycia, posiadają jakgdyby charakter parkowy. Można po nich swobodnie się poruszać. Wskutek znaczniejszych odstępów pomiędzy drzewami i pionowego ustawienia liści, lasy te nie dają prawie zupełnie cienia. Brak świeżej zieleni, tak typowej dla krajów podzwrotnikowych, nadaje krajobrazowi jakiś smutny charakter.

W Tasmanji, która posiada klimat chłodniejszy, obok roślinności typu australskiego

rosną również rośliny t. zw. antarktyczne, wspólne z roślinnością rosnącą na południowym cyplu Ameryki południowej. W dawniejszych okresach geologicznych musiało prawdopodobnie istnieć połączenie między Antarktydą, Patagonąi i Tasmanią, a ówczesny klimat Antarktydy nie był tak surowy i mroźny, jak obecnie.

O długotrwałej izolacji kontynentu australskiego jeszcze wyraźniej świadczy charakter fauny. Świat zwierzęcy, zamieszkujący Australję, posiada charakter najstarszej fauny na świecie. Zwłaszcza ssaki tworzą formy nieznane w innych częściach świata. Brak natomiast zupełnie tych form, które żyją na sąsiednim lądzie azjatyckim i w innych częściach świata. Wyjątek stanowi rudawy pies dingo, dawny, oswojony towarzysz tubylców, z którymi prawdopodobnie przybył drogą morską z Azji. Obecnie zupełnie zdziczały, jest prawie jedynym drapieżnikiem, którego łupem padają liczne zwierzęta roślinożerne.

Rodzinami ssaków, charakterystycznemi dla australskiego lądu, są torbacze i stekowce. Należą one do typów prymitywnych i w innych częściach świata przeważnie dawno wymarły i znane są jedynie z resztek kopalnych. U torbaczy samica posiada na brzuchu torbę ze skóry, w której nosi swe młode. Przedstawicielami torbaczy „stepowych są kangury. Są to roślinożerne zwierzęta rozmaitej wielkości. Zwykle spotyka się je w postawie nawpół wyprostowanej, gdy siedzą na swych tylnych odnóżach, podpierając się potężnym ogonem. W tej samej postawie zwierzę może posuwać się naprzód, wcale nie dotykając ziemi swemi przedniemi krótkiemi odnóżami, któremi pomaga sobie przy pobieraniu pokarmu. Kiedyś kangury były zwierzętami żyjącemi na drzewach w gęstych lasach i po gałęziach drzew poruszały się podobnie do naszych wiewiórek. Ze zmianą klimatu i charakteru szaty roślinnej kangury zostały zmuszone do przeniesienia się na ziemię, zachowały jednak postawę stojącą i zdolność posługiwania się ogonem. Ubarwieniem swem kangury przypominają naogół teren, z którym związane jest ich życie. Gatunki żyjące na podłożu skalistym mają barwę ciemno-brunatną, przebywające na obszarach piaszczystych — żółtawo-brunatną, inne wreszcie są jasnoszare. Kangury są zwierzętami bardzo płochliwemi. Zauważywszy coś podejrzanego, rzucają się do ucieczki, przyczem posuwają się wielkiemi skokami, dochodzącemi do 10 metrów długości.

Kangury stanowią przedmiot polowania tak krajowców, jak i Europejczyków, którzy zdobywają je przedewszystkiem dla cennego futra, które w ilości kilkuset tysięcy skórek wywozi się rok rocznie na europejskie rynki.

Znane są występy kangurów w cyrkach, gdzie produkują się one jako doskonali bokserzy. Zwierzęta te jednak bynajmniej nie orjentują się w zasadach i prawidłach walki, poprostu tylko człowiek, jako ich przeciwnik umiejętnie wykorzystuje ich zdolność do obrony za pomocą przednich odnóży. Walka ta sprawia wrażenie prawdziwego boksu między człowiekiem a zwierzęciem.

Z pośród dwudziestu kilku gatunków kangurów, największym jest kangur olbrzymi, dochodzący wraz z ogonem do 3 metrów długości. Z innych gatunków na uwagę zasługują kangury skalne i leśne. Pierwsze z nich żyją w obszarach górzystych i skaczą nadzwyczaj zręcznie, silnie się odbijając. Natomiast kangury leśne, zwane również drzewnymi, znane z północno-wschodniej Australji, żyją na drzewach.

Z innych torbaczy żyją w Australji t. zw. wombaty, podobne nieco z wyglądu i trybu życia do gryzoni, a zwłaszcza świstaków, od których jednak są znacznie większe.

W lasach eukaliptusowych żyje niezmiernie ciekawe zwierzę, należące również do torbaczy, zwane koala, czyli niedźwiedziem workowatym. Niezgrabne to i z wyglądu przypominające młodego niedźwiadka zwierzątko, odznacza się wyjątkową wprost powolnością i łagodnością tak, że nieraz nazywają je „leniwcem australskim". Żywi się liśćmi, których zawsze ma poddostatkiem. Prześladowany przez tubylców dla mięsa, które uważają za smaczne, a przez białych dla futerka, był już bliski wyginięcia i dopiero niedawno wzięty został pod ochronę, która nie dopuści do zupełnego wytępienia tego interesującego przedstawiciela fauny Australji.

Świat ptaków nie posiada już tak odrębnego charakteru, jak fauna ssaków. Jest to zrozumiałe, bo dla przelatujących ptaków ani cieśnina Torresa, ani nawet morze między Australją a archipelagiem malajskim nie stanowi przeszkody nie do przebycia. Jednak i wśród awifauny australskiej jest wiele gatunków nie spotykanych gdzieindziej. Wyłącznie w górskich lasach południowej części żyją lirogony, duże ptaki o wspaniałym ogonie z ozdobnych piór w kształcie liry, skąd poszła nazwa tego ptaka. Płochliwe te ptaki mają wielką zdolność naśladowania wszelkiego rodzaju głosów. Ciekawymi pod względem zwyczajów są t. zw. altanniki, których samce budują z gałązek długie sklepione korytarze, które są jakgdyby salami weselnemi, gdzie następuje wzajemne zapoznanie się i dobieranie par. Korytarze te ozdabiają kwiatami, kamyczkami lub muszelkami.

Charakterystycznym ptakiem jest zimorodek olbrzymi i czarny łabędź, których wizerunki zamieszczone zostały — podobnie jak i podobizna kangura — na znaczkach pocztowych Australji.

Odrębnym gatunkiem, żyjącym tylko w Australji, jest emu, zbliżony swym wyglądem do strusia i zwany nieraz strusiem australskim. Duży ten ptak, dochodzący do 1.7 m i na sąsiednich wyspach, z przybyciem jednak Europejczyków był coraz bardziej wypierany z wybrzeży w głąb lądu i na znacznych przestrzeniach całkowicie wytępiony.



Na prawo: Kazuar hełmiasty przypomina strusia.

W niektórych okolicach na miejsce emu zjawiają się kazuary, odznaczające się „hełmem" na głowie. Hełm ten jest dużą naroślą, podobną do grzebienia koguciego.

Niższe grupy zwierząt niewiele posiadają odrębnych gatunków i naogół mało się one różnią od form azjatyckich. Osobliwością Australji jest krab słodkowodny, Telphusa transversa, który żyje nawet w środku lądu w rzekach okresowych i w razie posuchy zakopuje się głęboko w ziemię, przetrzymując w ten sposób niekorzystną dla siebie porę.

Australja znaną jest z wielkiej ilości owiec, których hodowla stanowi jedno z bogactw tego kraju, oraz zdziczałych królików, które stały się wielką plagą dla kolonistów. Są to jednak zwierzęta przywiezione z innych części świata, a tego samego pochodzenia są i lisy, sprowadzone do Australji dla tępienia królików. Wróble, mieszkańcy miast, to także przybysze z Europy, przywiezione przez człowieka, który sprowadził ze sobą nawet łososie i pstrągi dla zarybienia rzek.

Dr. Z. M.

Bliskim krewnym dobrze nam znanego kangura jest australski kangur drzewny.



Niezwykłą postacią, przypominającą zabawki dla dzieci, odznacza się koala, czyli niedźwiedź workowaty.



GDY W WARSZAWIE JEST



GODZINA 12 →



Warszawa
Plac Zbawiciela, widziany z lotu ptaka.



...ch
...w ... arawana
jest 13- ...ze).
w



...w Moskwie
jest 14-ta. (Parada na Placu Czerwonym).



...w Delhi
jest 16-ta. (Kąpiel pielgrzymów).



...w Szanghaju
jest 19-ta. (Dziewczęta w palarni opium).



...w Sydney
jest 21-sza. (Port z nowym mostem).



...w cieśninie Beringa
jest 24-ta. (Przepływająca góra lodowa).



...ahiti
... Wybrzeże
jest 1- ...lmą kokos.).
z samot...



...w Hollywood
jest 3-cia. (Zabawa w pełni na balu filmowym).



...w Panamie
jest 5-ta. (Przejazd przez kanał pancernika amer.).



...w Buenos Aires
jest 7-ma. (Budzące się życie na placu Kongresu).



...na Azorach
jest 9 ta. (Przelatujący samolot „Air France").

KONKURS MAGAZYNU „AS"
NA NAJPIĘKNIEJ ZASTAWIONY STÓŁ WIELKANOCNY.

Konkurs Magazynu „AS" na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny dobiega końca. Poniżej zamieszczamy sześć dalszych zdjęć stołów wielkanocnych z różnych stron Polski, które świadczą, że nasz Konkurs spotkał się z bardzo szerokiem zainteresowaniem Czytelników.

Już w następnym numerze pojawią się ostatnie z nadesłanych zdjęć, poczem jury redakcyjne ogłosi wynik Konkursu. Wraz z podaniem wyniku Redakcja zamieści fotografje wszystkich nagród, ofiarowanych przez firmy.



„Święcone z Grodu Lecha".



Stół wielkanocny p. J. C. z Gostynia.



Święcone p. Niusi Dudkowej z Brzozowa.



Stół wielkanocny p. Stefanowej hr Wodzickiej z Ruszczy.



Kawalerskie święcone por. T. B. z garnizonu poleskiego.



Święcone p. Marji B. z Polesia.

VIA TRIUMPHALIS JÓZEFA HOFMANNA





Dwa portrety mistrza Józefa Hofmanna — pierwszy jako młodego wirtuoza i drugi z ostatnich czasów.

Przez przeszło pół wieku żyła w kołach artystycznych naszego kraju legenda o młodziutkim wirtuozie, który pod opieką ojca wyruszył z rodzinnego Krakowa na podbój świata.

W ciągu tych wielu lat nieraz docierały do kraju wieści o wielkich triumfach genjalnego pianisty, jakie święcił on na koncertach we wszystkich niemal stolicach Europy, a potem hen za oceanem, na ziemiach Nowego Świata. I legenda, która zrodziła się z pierwszych kroków artysty-dziecka, rosła, olbrzymiała, aż wreszcie przybrała dla nas kształt jasnej rzeczywistości w chwili, gdy przed niespełna trzema laty Józef Hofmann — bo o nim tu właśnie jest mowa — stanął po raz pierwszy po 54 latach znowu na estradzie koncertowej w rodzinnym kraju.

I wówczas, jak za pojawi[illegible]em się [illegible] firmamencie komety, o której nieraz wiele mówiono i pisano, ale której nikt poza garstką wybranych nigdy przedtem nie oglądał, tak i pod wpływem muzyki Józefa Hofmanna zrozumiano wtedy u nas w kraju wielkość imienia tego artysty, jakie on zdobył sobie swą sztuką na całym świecie. Niejedna myśl, niejedno wspomnienie pobiegło podczas ówczesnej wizyty Hofmanna w Krakowie śladami jego kroków, które zawiodły artystę pod jego dom rodzinny przy ul. Kurniki, skąd właśnie rozpoczęła się via triumphalis jednego z najznakomitszych pianistów i muzyków świata.

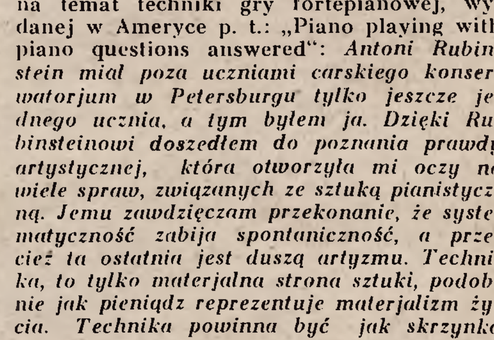
Dziś, gdy jesteśmy znowu pod świeżem wrażeniem występów Hofmanna, wspomnienia te odżyły, wzbogacone nowemi szczegółami, zaczerpniętemi z rozmów z artystą i jego małżonką.

* * *

Józef Hofmann urodził się w roku 1876. W odniesieniu do jego lat dziecięcych można z całym spokojem użyć stereotypowego określenia, że „odrazu dostał się w atmosferę nawskróś artystyczną". Ojciec, zawołany muzyk i pedagog, matka śpiewaczka, występująca na deskach opery krakowskiej — oto te najbliższe osoby, które z nauką mowy wszczepiały w duszę dziecka umiłowanie do muzyki. Praca ta musiała być wszechstronną, gdy się zważy, że Hofman mając zaledwie trzy lata, objawiał inteligencję młodzieńca, interesował się żywo wszystkiem, co go otaczało w domu rodzinnym i często zadawał pytania, które rodziców w kłopot wprawiały. Do fortepianu nie trzeba go było ciągnąć. Jakiś przemożny fluid, promieniujący ku cudownemu dziecku z instrumentu, który stać się miał wkrótce dla niego warsztatem najszczytniejszej pracy artystycznej, powodował, że Hofmann lgnął do fortepianu od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał grającego na nim swego ojca.

Nadeszły długie miesiące intensywnych ćwiczeń, które zwykle każdego początkującego mogą zrazić do instrumentu na całe życie. To, że tak się nie stało, zawdzięcza Hofmann swemu ojcu. On był bowiem pierwszym jego nauczycielem i jak nikt inny potrafił wzbudzić w uczniu zapał do pracy. O tym okresie życia genjalnego pianisty opowiadał mi nieraz jego cioteczny brat, prezes Kazimierz Szczepański, który wcześnie utraciwszy rodziców, wychowywał się razem z Hofmannem i niejedną z nim ciężką chwilę przeżył wówczas, gdy trzeba było rezygnować z różnych przyjemności na rzecz systematycznych studjów fortepianowych. Niewątpliwie wynikiem tej wytrwałej pracy był pierwszy publiczny występ Józefa Hofmanna na koncercie w Płocku, jako naprawdę cudownego, bo zaledwie pięć lat liczącego dziecka. Wówczas okazane zdolności nie tylko techniczne, ale i interpretacyjne skłoniły ojca Hofmanna do wyjazdu z synkiem za granicę. W Berlinie dostaje się Hofmann do klasy prof. Urbana, pod którego kierunkiem odbywa dalsze studja koncertując równocześnie w Niemczech, we Francji, Anglji i Skandynawji.

W r. 1887 gra Józef Hofmann po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych. Mając wówczas niespełna 11 lat, odnosi wielki sukces na koncercie w Waszyngtonie, który głośnem echem odbija się w całej prasie amerykańskiej. Losem młodocianego wirtuoza zaczyna się od tej chwili interesować świat muzyczny Ameryki. Znany w tych latach filantrop i mecenas sztuki, bogaty nowojorczyk Alfred Corning Clark staje się protektorem Hofmanna i wysyła go na pięcioletnie studja do Europy. W ten sposób kończy się początkowy okres karjery pianistycznej Hofmanna, a artysta dostaje się pod opiekę Antoniego Rubinsteina, którego genjalny artyzm wywarł tak przemożny wpływ na dalsze kształtowanie się talentu młodego wirtuoza. Sam Hofmann tak mówi o swym mistrzu w interesującej książce na temat techniki gry fortepianowej, wydanej w Ameryce p. t.: „Piano playing with piano questions answered": *Antoni Rubinstein miał poza uczniami carskiego konserwatorjum w Petersburgu tylko jeszcze jednego ucznia, a tym byłem ja. Dzięki Rubinsteinowi doszedłem do poznania prawdy artystycznej, która otworzyła mi oczy na wiele spraw, związanych ze sztuką pianistyczną. Jemu zawdzięczam przekonanie, że systematyczność zabija spontaniczność, a przecież ta ostatnia jest duszą artyzmu. Technika, to tylko materjalna strona sztuki, podobnie jak pieniądz reprezentuje materjalizm życia. Technika powinna być jak skrzynka z narzędziami, z której świadomy swych ce-*



Antoni Rubinstein przysłuchuje się grze młodego Hofmanna (wedle współczesnego sztychu).



Wejście do Instytutu Curtisa.



„Casimir Hall“, sala koncertowa Curtisa.



Wspaniała bibljoteka Instytutu.



Klasa Hofmanna w Instytucie Curtisa.



Marja Luiza Curtis Bok, znana filantropka amerykańska, fundatorka Instytutu Curtisa w Filadelfji.

łów artysta we właściwym momencie wyciąga właściwe narzędzia Samo posiadanie tej skrzynki z narzędziami nie oznacza wiele, bo technika jest tylko środkiem do celu, nigdy zaś samym celem".

W książce Hofmanna odnajdujemy również wspomnienie chwili, gdy po koncercie w Londynie dowiedział się on o nagłej śmierci swego mistrza (19 listopada 1894) w Peterhofie pod Petersburgiem. Na tym koncercie grał Hofmann po raz pierwszy Poloneza es-moll, niedługo przedtem skomponowanego przez Rubinsteina w Dreźnie i jemu jako najlepszemu uczniowi dedykowanego. — Nie przeczuwałem — pisze Hofmann — że była to pożegnalna pieśń dla mego wielkiego mistrza.

Studja u Antoniego Rubinsteina wyczerpały drugi okres pracowitego życia JózefaHofmanna. Po tem, z chwilą powrotu na estradę, cały świat stanął otworem dla młodego wirtuoza, który wyjeżdża ponownie do Ameryki i osiada na stałe w Stanach Zjednoczonych, skąd niemal co roku wyrusza na dłuższe tournee koncertowe. Każda taka podróż artystyczna Hofmanna przemienia się w pasmo wielkich triumfów. Wystarczy wspomnieć, że ówczesny jego pobyt w Petersburgu przedłużył się na miesiące, podczas których artysta dał w samej stolicy Rosji 24 koncerty pod rząd, każdy z innym programem i każdy wysprzedany do ostatniego miejsca.

Już po wojnie światowej przystępuje Hofmann do zorganizowania w Stanach Zjednoczonych placówki muzycznej, na czele której pracując po dziś dzień, zyskał sobie miano jednego z najwybitniejszych pedagogów. Tą placówką stał się słynny już dziś w całym świecie muzycznym Instytut Curtisa w Filadelfji, który powstał w roku 1924, dzięki ofiarności wielkiej filantropki amerykańskiej Marji Luizy Curtis Bok. Fundatorka Instytutu Curtisa, będąc sama znawczynią i miłośniczką muzyki, przeznaczyła na ten cel olbrzymią sumę 12 miljonów dolarów. Dzięki temu placówka otrzymała odrazu wspaniałe ramy i prawdziwie królewskie wyposażenie. Dla zorjentowania Czytelników, podam tylko, że samych fortepianów Steinwaya posiada „Curtis" 61 zwykłych, dwa koncertowe, 6 pianin i elektryczny „Duo-Art", prócz tego wielką ilość starych skrzypiec włoskich Amatiego, Guarneriusa, Stradivariusa i in., olbrzymią bibljotekę z tysiącami dzieł i manuskryptów muzycznych. Ozdobą Instytutu jest sala koncertowa, t. zw. „Casimir Hall", tak nazwana od imienia ojca Hofmanna, w której odbywały się koncerty z udziałem uczniów i profesorów szkoły, oraz znakomitej orkiestry symfonicznej „Curtisa". Do grona profesorskiego Instytutu należało również kilku doskonałych muzyków polskich, jak Stokowski, Młynarski, Münz, Rodziński, Sembrich-Kochańska. Fundatorka „Curtisa", p. Bok, została też odznaczona przez rząd polski komandorją orderu „Polonia Restituta" za opiekę, okazywaną artystom i muzyce polskiej.

To samo wysokie odznaczenie wręczył przed trzema laty Józefowi Hofmannowi przedstawiciel naszego rządu, w czasie ówczesnego pobytu mistrza w kraju. W ten sposób pragnęły najwyższe czynniki państwa dać wyraz wielkiego uznania i wdzięczności dla niepospolitej sztuki Hofmanna i uczcić w nim nie tylko jednego z najsłynniejszych muzyków świata, ale i jednego z największych Polaków. W tym roku mistrz obchodził 50-lecie swych występów na estradzie, przyczem jako moment początkowy tego okresu obrano pierwszy koncert w Ameryce. Dlatego też i pierwszy recital jubileuszowy odbył się ub. jesieni w „Metropolitan Opera" w Nowym Jorku, i przemienił się w olbrzymią manifestację społeczeństwa amerykańskiego na cześć genjalnego artysty.

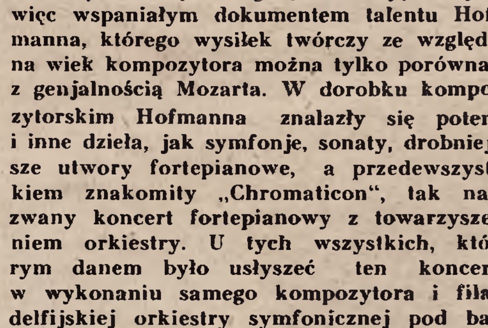
Kończąc ten krótki opis „via triumphalis" Józefa Hofmanna, wspomnieć musimy o jego pracach kompozytorskich, a przedewszystkiem o „Suite antique", którą mistrz napisał jeszcze w wieku dziecięcym. Ta kompozycja, złożona z czterech części, odznacza się doskonałą fakturą i bogatą inwencją — jest więc wspaniałym dokumentem talentu Hofmanna, którego wysiłek twórczy ze względu na wiek kompozytora można tylko porównać z genjalnością Mozarta. W dorobku kompozytorskim Hofmanna znalazły się potem i inne dzieła, jak symfonje, sonaty, drobniejsze utwory fortepianowe, a przedewszystkiem znakomity „Chromaticon", tak nazwany koncert fortepianowy z towarzyszeniem orkiestry. U tych wszystkich, którym danem było usłyszeć ten koncert w wykonaniu samego kompozytora i filadelfijskiej orkiestry symfonicznej pod batutą Stokowskiego, wrażenia tej wspaniałej biesiady muzycznej pozostały napewno do końca życia.

Poezja i urok gry Józefa Hofmanna, zbudowanej na fundamentach najszlachetniej pojętej sztuki pianistycznej, są tem ziarnem, które kiełkuje długo w duszach słuchaczy, by wyróść i rozwinąć się w najpiękniejszy kwiat wspomnień wówczas, gdy w muzyce staramy się odnaleźć prawdziwe wartości naszego życia, uciekając od jego szarzyzny i pospolitości.

Juliusz Leo



Poniżej: Mistrz Hofmann i jego małżonka z zadowoleniem śledzą „pierwsze kroki" na fortepianie swego synka.



PIANO PLAYING
WITH
PIANO QUESTIONS
ANSWERED

Panu Juljuszowi Leo na pamiątkę od Józefa Hofmanna
Kraków
11 maja 1933.

Autograf udzielony autorowi artykułu przez Józefa Hofmanna na jego książce, traktującej o technice gry na fortepianie.



NOKTURN CHOPINA.

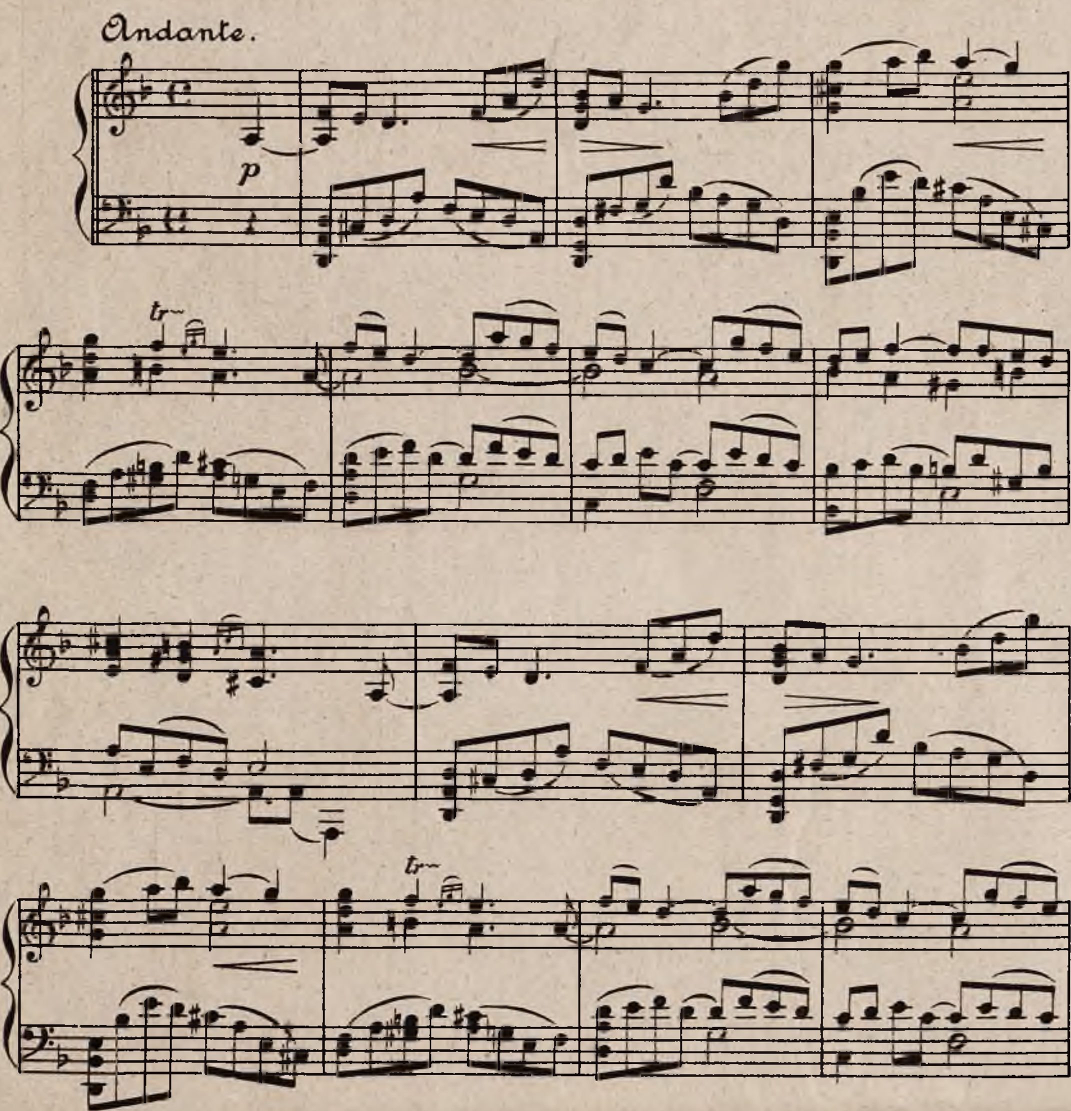
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

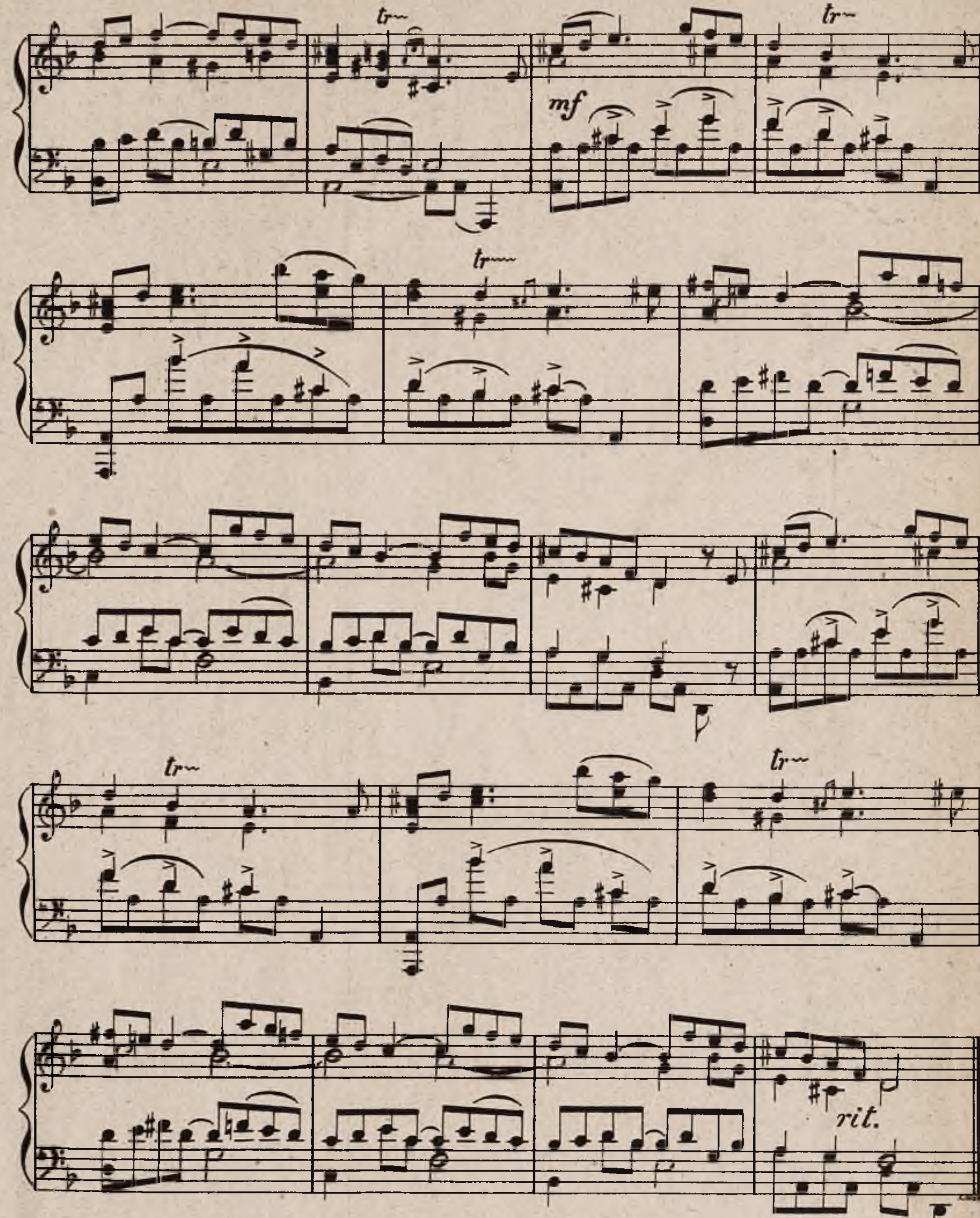
Z rękopisu, za zezwoleniem kompozytora

Allemande

z „Suite Antique", napisanej w latach dziecięcych przez

JÓZEFA HOFMANNA





Jan Hubert szuka asonansów.

JULJUSZ MIEROSZEWSKI

N·O·W·E·L·A

Tego dnia Jan Hubert uświadomił sobie dokładniej niż kiedykolwiek, że Lena kojarzy się w jego myślach z wiosną. — Ciepłe, kwietniowe powietrze wpływało przez otwarte okno w ponure wnętrze biura. Słońce jasnym prysznicem zalewało brudnawe podwórze, wybrukowane kostką a wiatr niósł ze sobą zapach ziemi. Tak się przynajmniej zdawało Janowi Hubertowi; ten poranek przywodził na pamięć wszystkie oklepane frazesy o wiośnie, młodzieńcze wiersze i romantyczne asocjacje.

Wprawdzie Hubert krytycznie odnosił się do złudnych marzeń wiosennych, to niemniej nie mógł zaprzeczyć, że dziś właśnie zbudziło się w nim pragnienie tego pocałunku. Ten poranek przedwiosenny kojarzył się sugestywnie z świeżemi ustami Leny — tworzył w stosunku do nich piękny i nastrojowy asonans.

Wracając o 3-ciej do domu Jan Hubert zamyślił się głęboko nad którąś tam wiosną. Zaczęło się podobnie. Usta Izabeli rozkwitły również w kwietniu. Tak samo wiatr strzelał otwartemi oknami — na dachach uganiały się stada rozćwierkanych wróbli — rozpulsowało się wszystko i roztętniło w kolorowem świetle słonecznem.

Oboje odczuwali tę rzewność i radość. Wybuchali na rogach ulic śmiechem, ot tak z niczego — na przystankach tramwajowych wiedli długie rozmowy nie mogąc zdecydować się na zajęcie miejsca w wozie — gubili paczki i zostawiali po sklepach rękawiczki. Przechodnie obrzucali ich życzliwem, pełnem zrozumienia spojrzeniem.

Wieczorami poważnieli. Oczy Izabeli stawały się jeszcze czarniejsze, jeszcze głębsze, a ich tęskność wyraźniej dominowała nad mocnym wyrazem warg. Zatrzymali się pod rozłożystemi kopułami drzew w odległych parkach, i wpatrywali się w aksamitną dal nocy. Tamtej wiosny Jan Hubert gwiezdną perspektywą mierzył głębie czarnych oczu Izabeli. Mówili urywanemi zdaniami o „wiecznej miłości“ o „kresie wędrówki“ deklinując z wiosennym patosem słowa tragiczne.

Jan Hubert zatrzymał się przed wystawą kwieciarni. Patrzył na wiosnę za szybą — na bez, herbaciane delikatne róże, na ponsowe tulipany. Zegar ratuszowy wydzwonił kwadrans na czwartą. Za oknem kwieciarni czaiła się wiosna, która w tym roku znalazła dla siebie piękny asonans z ustami Leny.

* * *

Od kilku tygodni Jan Hubert samotnie spożywał swe obiady, albowiem Izabela leczyła się w Rabce. W najbliższą niedzielę Hubert miał zamiar odwiedzić żonę, od której otrzymywał codziennie kartkę lub list. Dziś jednak nie spieszył się z otwarciem listu od Izabeli, który stał oparty o jej fotografję na biurku. Patrzył przez okno na chmury, płynące po błękitnawem niebie i cedził wolno zupę.

Dziwne to było. Rozpamiętywał pierwsze tygodnie swego zakochania w Izabeli i równocześnie myślał o Lenie. Zabawne. Po obiedzie wyszedł na balkon i wyciągnął się wygodnie na leżaku. Rozpogodziło się zupełnie. Okna domów roztwarły się niczem oczy zdziwione — polewa dachówek na dachach sąsiednich kamienic błyszczały metalicznie — a stado gawronów zataczało koła nad wysokim kasztanem w ogrodzie.

W takie popołudnie pojechali po raz pierwszy samochodem za miasto. Znali się dopiero od niedawna. Poprzedniego wieczoru. krążyli do późna po osamotnionych ulicach nie mogli się poprostu rozstać. Lena... nie, Izabela zgodziła się na propozycję wycieczki za miasto. Jan Hubert kupił w kwieciarni trzy ponsowe tulipany. Izabela trzymała je blisko przy ustach.

Pięknie rymuje się kolor pani warg z barwą tych mocnych kwiatów — zauważył Hubert.

— Mocnych? — zaśmiała się.

— Pomyślałem analogją o kwiatach, o winie i o ustach — odparł Hubert.

Spojrzenia ich spotkały się na dłużej. Wiadomem było, że tego popołudnia po raz pierwszy się pocałują.

Jan Hubert zapalił papierosa i zaczął głośno deklamować wiersz, jaki napisał tamtego wieczoru. Następnego dnia posłał go Izabeli. Teraz wymawiając ciepłe, zmysłowe słowa wiersza, myślał o Lenie.

Nie mógł odnaleźć się w tym dwoistym nastroju. Czy naprawdę zakochał się w Lenie? — czy też tęsknił tylko za nowym asonansem do swej pierwszej miłości? Czy możliwem byłoby przeżyć z Leną tamtą pierwszą miłość?

Wiersz z przed pięciu laty brzmiał w kwietniowem powietrzu równie świeżo, jak wówczas.

Z nastaniem zmierzchu spadł krótki deszcz. Długie, grube strugi wody zabębniły po szybach — rynny rozdzwoniły się perliście. Koło 9-tej wypogodziło się ponownie.

Jan Hubert otworzył okno, wychodzące na ogród. Pod drzewami gęstniał cień, pełen niepokoju. W dotykalnej niemal czerni pulsowały rozwijające się pąki, słychać było szmer rosnącej blado-zielonej trawy.

Z ulicy dobiegał gwar rozmów, przeplatany śmiechem. Słyszało się przeważnie młode głosy a w śmiechu kobiet wibrowała nuta podniecenia. Ten sam element tętnił w zagęszczonych cieniach pod koronami drzew.

Hubert usiadł przy biurku, ważąc w myśli porównanie, że kobiety i drzewa są rodzeństwem wiosny. — Wydobył z dolnej szuflady biurka tekę z niewydanemi poezjami które pisywał w okresie narzeczeńskim do Izabeli.

Smieszne — pomyślał — czyżby co pięć lat powtarzały się te same wiosny? Przeczytał kilka strof; klucz wiolinowy był ten sam. Emisja wiosny z przed pięciu laty utrzymana była w tej samej tonacji. Przerzucał w myślach asocjacje — smakował barwny miąż poetycki — w pokoju powiało jakby ktoś perfumy Izabeli roztarł na dłoni.

Tak, to była taka lampa Aladyna. Dawne wiersze rozświetlał czerwonym płomieniem ust Leny. Ożyły na chwilę dzięki tej dziwnej transfuzji. Jan Hubert przerzucał białe kartki, zapisane dużem, nerwowem pismem. Na powierzchnię wydobyły się tylko niektóre akcenty — całe partje sonaty pozostały jednak nieme.

Czego szukał wśród tych papierów? Miałby się przyznać, że umiał śpiewać miłość tylko według melodji Izabeli?

Spojrzał przez otwarte okno w głąb ogrodu. Czy możliwem jest, że Lenę pokocha tak, jak Izabelę? W istocie tęsknił bowiem do tamtej melodji, do swej pierwszej miłości, do Izabeli.

Zapalił papierosa — zasłuchany.

* * *

Lena pracowała w biurze dopiero od dwóch tygodni. Mimo że niemal nie znała Huberta, przyjęła jego zaproszenie bez zdziwienia. Było ono konsekwencją jej powłó-



Plafon pendzla profesora Michalaka w odnowionym sklepie pierwszej w Polsce Fabryki Czekolady E. WEDEL przy ul. Szpitalnej 8 w Warszawie.

czystych spojrzeń. Mieli pojechać samochodem za miasto. Jan Hubert, wracając tego dnia z biura o 3-ciej, wstąpił do kwieciarni na rogu. Z wielkiego wazonu, w którym pyszniły się ponsowe, cięte tulipany, wybrał trzy najbardziej ponsowe. Sprzedawczyni wyjęła je piegowatą ręką i zawinęła szybko i wprawnie w bibułkę.

Hubert szedł do domu układając w myślach dzisiejsze spotkanie. Z wspomnień montował skrupulatnie scenarjusz, obmyślając dokładnie każdy epizod, pieszcząc się każdą frazą poematu. Od tygodnia rozczytywał się w własnych poezjach z przed pięciu laty, które stanowiły biografję jego pierwszej miłości. Strofy te brzmiały legendarnie — godne tęsknoty. Janowi Hubertowi nie przyszło nawet na myśl, że nowa miłość mogłaby być inną.

Jak dobrze byłoby napisać znów wiersz miłosny — myślał, zapatrzony przed siebie. Może dziś późną nocą wróci zakochany. — Odnajdzie tę muzykalność, która sprawia, że własne wnętrze słyszy się niczem grające organy. — Akcenty niespodziewane wśród rozmowy — zestawienia słów, wyrazu oczu i ust widziane w perspektywie nastroju — ach, wystarczy naprawdę umieć portretować momenty, aby być poetą.

Lena czekała na rogu. W sportowym kostjumie wyglądała świeżo i zalotnie. Z impetem wskoczyła do samochodu, zatrzasnęła drzwiczki i krzyknęła do szofera:

— Jazda!

Jan Hubert nie zdążył się nawet przywitać. Lena śmiała się głośno, odlepiając bibułkę z cukierka, który wyjęła z torebki. Hubert wręczył jej ponsowe tulipany. Położyła je obok, nie poświęciwszy im żadnej uwagi. Nie podniosła ich do ust, nie mógł przeto powiedzieć, że hormonizują z barwą jej warg.

— To wszystko jest takie zabawne — szczebiotała głośno — niech pan sobie wyobrazi, że nigdy nie przypuszczałam, iż kiedykolwiek pojedziemy razem na spacer. I to w dodatku samochodem! Miała jednak rację Krysia — pan wie, ta z regestratury — że pan niby taki cnotliwy, ale jeszcze kiedyś wystrzeli! A ja mówiłam zawsze, że pragnęłabym takiego męża, jak pan — ale znamy się dopiero od 10 dni — ha, ha!! — zaśmiała się głośno. — No bo jakże to, panie Hubercie — podjęła znowu, częstując go cukierkami — żona w Rabce w sanatorjum, a pan z koleżanką na spacerek. Nie... nie... proszę się nie gniewać, nie myślałam nic złego — no, proszę się zaraz rozchmurzyć! To nawet bardzo ładnie z pańskiej strony, że pan o mnie pomyślał. Tak lubię jazdę samochodem. A wieczorem pójdziemy na kolację do „Pardizu" — prawda? Wie pan — tam tańczy murzyn Vambo — nikt nie jest taki niesamowity w tangu, jak on — muszę z nim zatańczyć!

Jan Hubert siedział wciśnięty w róg żując miętowego cukierka, który włożyła mu do ust Lena niemal przemocą. Miętowy cukierek przypominał proszek do zębów — podkreślał trywialność nastroju, który on, Jan Hubert pragnął wyreżyserować w epizod z ponsowym tulipanem.

Inicjatywa wypadła z rąk Huberta. Siedział jak kauczukowa lalka, milczący i przybity. Lena zajadała się miętówkami i szczebiotała.

— Pan trochę mizernie wygląda? Dlaczego pan taki smutny? Czy to prawda, że pisuje pan wiersze? Zosia uparcie twierdzi, że czytała w pismach pańskie sonety — to bardzo zabawne! Ale... dlaczego patrzy pan tak dziwnie, no, proszę się nie gniewać i pocałować mnie na zgodę.

Jan Hubert otrząsnął się odruchowo, jak pies, któremu na kark wylano dzbanek zimnej wody. Zaśmiał się sztucznie.

— Czy ten murzyn z „Paradizu" pocałował kiedy panią? — zapytał niespodziewanie.

Lena sięgnęła po nową miętówkę do torebki.

— Nie... ale skąd przyszło to panu na myśl? Wie pan — dodała po chwili — to jest dziwne, ale wobec żadnego mężczyzny nie czuję się tak małą i słabą, jak wobec Vambo. On jest straszny.

Zatrzymali się na skraju małego brzozowego gaju, w którym przed pięciu laty w wiosenne popołudnie Jan Hubert wymienił z Izabelą pierwszy nieśmiały pocałunek.

Hubert wysiadł pierwszy. Zapłacił szofera i nie oglądając się za siebie, począł iść naprzód, jakby przyjechał tu z określonym celem. Lena szczebiotała, śmiała się głośno, rozsiewając wokół papierki z miętówek.

Jan Hubert szedł ku trzem brzozom, które rosły nad strumieniem, przepływającym przez gaj. Lena zdjęła żakiet i usiadła na pierwszym wzgórku. Hubert nie zwracał na nią żadnej uwagi. Szedł szybko, nie odpowiadając na wołanie kobiety Po chwili zniknął jej z oczu.

U stóp trzech brzóz kwitły złote kaczyńce. Hubert zdjął kapelusz i przesunął dłonią po czole.

Tej nocy — przyszła ciemna i dżdżysta — Hubert napisał wiersz do Izabeli. Tak samo, jak przed pięciu laty.

Dokończenie ze str. 5-tej.

tych dysz dostarczane jest przez elektrycznie napędzaną dmuchawę pod ciśnieniem 1.05 atm. Jednak pęd powietrza nie wystarczyłby jeszcze. Powietrze dmuchu musi być nagrzewane. Osiąga się to przy pomocy stalowych rekuperatorów, ogrzewanych gazami wydobywającemi się z wielkiego pieca. Gazy te zmieszane z powietrzem są materjałem ogrzewczym w rekuperatorach, w których systemem ogniotrwałych rurek przepływa powietrze z dmuchawy do 12 dysz pieca. Powietrze nagrzane do temperatury 750 stopni i pod ciśnieniem 1.05 atm. wtłoczone do pieca spełnia dopiero właściwe zadanie, wywołując potrzebną temperaturę i ciąg.

U podstawy pieca znajduje się otwór spustowy, nieco wyżej otwór, którym spływa bezużyteczna szlaka. Przez gardziel u szczytu wielkiego pieca napełnia się piec tworzywem: koksem i rudą. Rozdział materjałów równomierny na całej powierzchni górnego otworu odbywa się automatycznie bez udziału ludzi, jak to miała miejsce przy piecach starych. Po pochylni, stojącej za piecem, przebiegają naprzemian wywrotki, które ładują materjały do pieca. Wywrotki, obsługiwane są przez wagony elektryczne z koksem i wagoniki z rudą. Maszyna wyciągu, o dwóch silnikach, o sile 95 km. każdy, podnosi wywrotki do gardzieli pieca. Nabój koksu, wynoszący 6000 kg., dostarczają 4 wywrotki!

Jedną z ciekawych inowacyj pieca „A" jest to, że podstawa jego jest otoczona zamkniętą przestrzenią i że piec nie posiada hali odlewniczej. Płynna surówka spływa systemem koryt do kadzi, które następnie odwożą ją do maszyny odlewniczej.

Kontrola biegu pieca odbywa się przy pomocy 15 samopiszących przyrządów pomiarowych, notujących schodzenie naboju, ciśnienie dmuchu, ciśnienie gazu, ilość gazu rekuperatora, temperaturę w rekuperatorach i t. d....".

W tej chwili donoszą, że spust z pieca nastąpi za chwilę. Żelaznym mostem przechodzę do hali wielkiego pieca. Po stalowych ścianach spływają potoki wody. Przez fioletowe szkła dysz umieszczonych na zgięciu rur padają smugi światła. Zaglądam do wnętrza. Piekło nabiera barw żywych i staje się czemś realnem. W głębi kłębią się grudy koksu i rudy. Opadają z góry ciemne, dostają się w wir rozpalonego do białości powietrza, wyrzucanego przez dysze, zaczynają bieleć i znikają w zamęcie. Groza tej potęgi jest zbyt wielka. Nie mogę oderwać się od fioletowego szkła, które okazuje straszliwą walkę natury z ludzką inwencją. Jestem tak bliski tej niepojętej temperatury tam wewnątrz i tak niesamowicie bezpieczny... To wydaje się snem.

Otwór spustowy pieca jest zamknięty. Zakładają właśnie młot pneumatyczny, który po chwili wbija długi stalowy drąg w glinę. Wśród huku otwór zostaje przebity. Praca młotu zostaje teraz odwrócona. Wyciąga on stalowy drąg nerwowemi skokami i oto...

Niesamowita struga wytryska z źródła. Prycha iskrami. Szeleści groźnie. Napełnia sobą koryta. Żelazo robi wrażenie wody — tak łatwo chwieje się i kołysze. Idą po nim fale... Robotnicy, zasłaniając twarze ręką, kręcą się wkoło jak duchy. Są przy tej groźnej rzece nikczemnie mali, a jednak kierują jej biegiem. Unoszą małe zapory i żelazo spada do podstawionych kadzi na torach. Kadzie napełniają się, pocztem ciągnione przez lokomotywy oddalają się, jarząc swą zawartością wysokie aureole.

Po wypuszczeniu żelaza, gliniarka zbliża się ku dołowi na pochyłej belce, jej ryj dotyka otworu, przez który spływa jeszcze żelazo. Glina pod wielkiem ciśnieniem wtłoczona zostaje do otworu i zalepia go. Za jakiś czas nastąpi znowu przebicie otworu, spust surówki. Tak idą godziny, dnie, noce, miesiące, lata. Bez wytchnienia i odpoczynku. Blisko 430 tonn surówki produkuje dziennie piec „A". Piec zaś ten nie pracuje sam. Jest ich więcej. Zrozumiałem pracę statków, kranów portowych, pociągów, krajowych i zagranicznych kopalń rudy i gorączkowe poszukiwania nowych terenów żelazonośnych w Polsce.

Żarłoczność tych olbrzymów, których nie można ugasić z byle powodu, jest tego przyczyną. Wielkie piece muszą żyć, by dać życie ludziom. Gdy one zgasną oznaczać to będzie coś strasznego. Coś, co na szczęście minęło niedawno, ale na Boga, bezpowrotnie.

Maszyna odlewnicza typu Uelinga została zastosowana w hucie „Piłsudski" po raz pierwszy w Polsce. Kadź, stojąca na torach, pochyla się zwolna i wylewa płynne żelazo do rynien, które zkolei kierują strumień do form, umieszczonych na długim łańcuchu bez końca. Przesuwające się pod strumieniem formy, po napełnieniu zostają chłodzone natryskami od dołu, potem zgóry. Wstęga z formami jest tak ustawiona, że odlane „gęsi" żelaza spadają wprost do podstawionego wagonu.

Opuszczamy tereny huty. Za nami pozostaje rozgwar, stukoty młotów, gwizdy lokomotyw. Idziemy ku bramie, która zwolna zamyka się za nami.

Kiedy nocą w drodze powrotnej do Krakowa mijamy Chorzów — widać zdala pracujące wielkie piece. Czerwone łuny kładą się wybuchami żółtych plam na zabudowaniach. Pomarańczowe rzeki żelaza pulsują w swych arterjach, otoczone malutkiemi postaciami tych współczesnych Gulliwerów, którzy je ujarzmili.

Szyba, przez którą spoglądam zwolna matowieje od mego oddechu. Obraz mętnieje, jest coraz bardziej zatarty, aż wreszcie cała rzeczywistość tam za oknami zamienia się w jeden sperlony kroplami wilgoci krąg czerwieni.

J. M. Brzeski.

WZORY LUDOWE
W MODZIE
KOBIECEJ

Bogactwo form kostjumologicznych ludowych może się stać niewyczerpanem źródłem dla inicjatywy w kierunku ożywienia mody kobiecej. Zagranicą, a przedewszystkiem w Anglji, w Austrji i w Niemczech od dawna już moda korzysta z wzorów ludowych, zwłaszcza w strojach letnich i sportowych. Okazało się przytem, że owa inwencja ludowa łączy w sobie w sposób idealny praktyczne walory z estetycznemi. Nie trzeba bowiem zapominać, że strój ludowy zrodził się na tle przyrody i postulat celowości górował zawsze w jego ewolucji nad stroną czysto dekoracyjną.

W Austrji t. zw. strój tyrolski stał się podstawą wielu ciekawych pomysłów w zakresie kobiecej mody sportowej — w Anglji narodowy strój szkocki do dziś dnia w różnych odmianach i stylizacjach dominuje zarówno w męskiej jak i kobiecej modzie letniej i sportowej — w Niemczech dzięki inicjatywie niemieckiego instytutu mody zaadaptowano wiele strojów ludowych z rozmaitych okolic Niemiec dla mody kobiecej.

W Polsce, która pod względem bogactwa form ludowej kostjumologji stoi bodaj na pierwszem miejscu w Europie — brak dotąd właściwie inicjatywy w tym kierunku. Panie nasze naśladują ślepo wzory zagraniczne, chodząc po wsi podhalańskiej w tyrolskich spodenkach, nasi milusińscy od lat noszą kapelusiki tyrolskie oraz płaszczyki i bluzki, naśladujące szkockie stroje ludowe.



Młode dziewczęta podczas wycieczek w Tyrolu noszą chętnie tamtejsze stroje ludowe. (Zdjęcia: Fot. Schostal.



Na lewo: W czasie pobytu na wsi suknie, skopjowane ze wzorów ludowych, są praktyczniejsze i wyglądają stosowniej, niż suknie noszone w mieście.

Eksploatowanie bogatych wzorów góralskich odbywało się u nas dotąd właściwie bardzo niecelowo i ze złym smakiem. Widziało się parzenice góralskie, a więc ornament kostjumowy, adaptowane na poręczach krzeseł (!!) co jest skandalicznem wypaczeniem zarówno samego motywu, jak i jego piękna. Strój tyrolski nie jest w niczem piękniejszy ani oryginalniejszy od naszego stroju góralskiego — a przebarwne stroje łowiczanek ciągle jeszcze czekają na inicjatora, który w oparciu o nie stworzyłby jakąś rodzimą kreację mody kobiecej na sezon letni.

W ostatnich czasach pierwiastek ludowy coraz silniej przenika do mody kobiecej. Na wsi piękna pani chętnie nosi na głowie barwną, ludową chustkę, zamiast niepraktycznego kapelusza. Haft ludowy, tak bogaty w formy ornamentacyjne, dostarcza wielu pomysłów dekoracyjnych dla tak modnych ostatnio strojów letnich i sportowych lnianych, oraz sporządzonych z t. zw. „wełno-lnu". W roku bieżącym szereg firm lansować będzie na sezon letni kreacje z lnu, który to materjał jest specjalnie predysponowany dla strojów o typie ludowym.

Stosowanie elementu z kostjumologji ludowej mimo, że pozornie nie przedstawia większych trudności, jest w istocie bardzo trudne — inicjatywa bowiem w tym kierunku musi się oprzeć na bardzo dobrym smaku.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ STOLICY.

ŚLUB TADEUSZA hr. CZACKIEGO z MARJĄ hr. PLATER-ZYBERK

Ewenementem życia towarzyskiego polskiej arystokracji był ślub, który odbył się ostatnio w kaplicy przy ul. Wiejskiej w Warszawie. Na kobiercu ślubnym stanęła hrabianka Marja Plater Zyberk i hr. Tadeusz Czacki, jedyny potomek zasłużonej w historji Polski rodziny Czackich. Pradziad Pana Młodego w prostej linji to wielki patrjota i uczony, współzałożyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie i twórca słynnego Liceum Krzemienieckiego, Tadeusz Czacki. Liceum to, rozkazem władz rosyjskich zamknięte w r. 1831, powołane zostało do życia w r. 1920 specjalnym rozkazem Marszałka Piłsudskiego, który wskrzeszeniem tej placówki kultury i wiedzy na kresach wschodnich wystawił jej twórcy najpiękniejszy pomnik.

Rodzina hrabiów Czackich, pochodząca zasadniczo z Wielkopolski, z Czacza, osiadła od wielu pokoleń na Wołyniu. Hołdując zawsze najszlachetniejszym tradycjom kulturalnym i patrjotycznym, dała Polsce wielu zasłużonych obywateli, niestrudzonych pracowników na niwie społecznej i dzielnych żołnierzy, strzegących wiernie polskości Kresów Wschodnich. Do nich należał też zmarły przed niedawnym czasem hr. Stanisław Czacki, właściciel Porycka na Wołyniu, wielce zasłużony działacz i wielkich cnót obywatel.

Starożytny ród hrabiów Platerów, z którego pochodzi panna młoda, Marja Plater Zyberk, a którego założyciele, przybysze z Nadrenji, osiedlili się w XIII wieku na Inflantach, z biegiem czasu spolszczony, może się również poszczycić imionami tak zasłużonych patrjotów polskich i znanych uczonych, jak: Kazimierz Konstanty, podkanclerzy litewski i pisarz polityczny, Adam, archeolog i badacz Inflant, Władysław, uczestnik powstania 1863 r., założyciel Muzeum Rapperswilskiego, a wreszcie bohaterki narodowej Emilji Plater.

Rodzice hrabianki Marji, Józafatostwo Plater-Zyberkowie, mieszkali przed wojną w swej rodzinnej majętności Bebra na Inflantach. Przyszła zawierucha wojenna, dobra rodowe uległy konfiskacie, a ich właściciele zmuszeni do opuszczenia stron ojczystych, znaleźli gościnę w drugiej swej ojczyźnie, w domu siostry hr. Plater-Zyberk, hr. Augustowej Potockiej w Moskorzewie, majątku położonym w województwie kieleckiem. W domu tym, znanym z wysokich cnót obywatelskich, wychowywała się też hrabianka Marja, oddając się za przykładem swej ciotki pracy społecznej, biorąc udział w stowarzyszeniach, mających na celu podniesienie moralności i umysłowego poziomu młodej wsi polskiej.

W uroczystościach ślubnych wzięło liczne grono gości z pośród arystokracji polskiej, spokrewnionej lub też zaprzyjaźnionej z rodzinami Państwa Młodych, a więc hr. Czackich, Karnkowskich, hr. Ledóchowskich, hr. Potockich, hr. Moszyńskich, Maysztowiczów, Platerów, hr. Wielopolskich oraz ks. Włodzimierz Czetwertyński z małżonką, hr. Ksawerowa Branicka, hr. Rajnold Przezdziecki, hr. Leon Komorowski, pna Zofja Michałowska, p. Stefan Andrycz, p. Paweł Górski, p. Lucjan Chłapowski i p. Jerzy Jelski.

W pięknie udekorowanej świeżemi kwiatami kaplicy odbyło się najpierw nabożeństwo, celebrowane przez brata Panny Młodej ks. kanonika Aeksandra Plater-Zyberk, kapelana kardynała Kakowskiego, który udzielił następnie Młodej Parze błogosławieństwa, przemawiając w serdecznych słowach do nowożeńców. Panna Młoda, prowadzona do ołtarza przez najstarszego brata Stanisława, rotmistrza ułanów, prześlicznie wyglądała w sukni z tafty faille i welonie, obszytym ślicznemi staremi koronkami. Długi tren niosły dwie małe dziewczynki w bieli, siostrzeniczki Panny Młodej. Pan Młody wystąpił w mundurze 2 pułku ułanów. Panie, biorące udział w orszaku ślubnym, zjawiły się w drogocenych okryciach futrzanych z pod których przebłyskiwały stare rodowe klejnoty i sznury pereł.

Po akcie ślubnym odbyło się śniadanie w Hotelu Europejskim, w którem wzięło udział przeszło sześćdziesiąt osób. Do Młodej Pary przemówł senior rodziny hr. Henryk Potocki, który nawiązując do wzniosłych tradycyj rodowych, wskazał nowożeńcom cel, do którego powinni dążyć.

Tego dnia młodzi hr. Tadeuszostwo Czaccy wyjechali do Wilna, by w Ostrej Bramie pomodlić się o błogosławieństwo na dalszą, nową drogę życia, a stamtąd do rodzinnego majątku Porycka na Wołyniu. **Ord.**



Na prawo: Ks. kanonik Aleksander Plater-Zyberk udziela młodej parze ślubu.



Po ceremonji ślubnej odbyło się w Hotelu Europejskim przyjęcie, w którem wzięła udział najbliższa rodzina. W drugim rzędzie widoczni od lewej: Hr. Ledóchowski, Alfredowa hr. Wielopolska, Henryk hr. Potocki, Stefanowa hr. Moszyńska, rtm. Stanisław hr. Plater-Zyberk, brat Panny Młodej, Państwo Młodzi, Tadeuszowa hr. Czacka, matka Pana Młodego, p. Jerzy Jelski, margrabina Wielopolska, hrabianka Wielopolska, hr. Plater-Zyberk, p. Meysztowicz; w pierwszym zaś rzędzie siedzą od lewej: Emanuel hr. Moszyński, p. Stanisław Karnkowski i in. Zdjęcia: Fot. „As".

Poniżej: Wśród gości weselnych znajdował się również hr. Rajnold Przezdziecki (na prawo) i ks. Włodzimierz Światopołk-Czetwertyński.



LILY PONS PRZEBYWA W PARYŻU.



Jedna z najsłynniejszych śpiewaczek współczesnych, Lily Pons, rodowita Francuzka, występująca od lat w Ameryce, przybyła do Paryża i wzięła udział w bankiecie, wydanym na jej cześć przez stowarzyszenie artystów francuskich „Pont aux Dames".

Z KARNAWAŁU WIOSENNEGO GWIAZD FILMOWYCH.



Karnawał wiosenny w stolicy X Muzy, Hollywood, upływa pod znakiem wielkich zabaw, urządzanych z udziałem sławnych gwiazd filmowych. Na zdjęciu widzimy piękną Marlenę Dietrich i Douglasa Fairbanksa młodszego na balu „Tri-Guild".

„CZARNOLAS"



Znany poeta i feljetonista, Ludwik Świeżawski, zorganizował ostatnio w Warszawie zespół poetycki pod nazwą „Czarnolas", który dał się poznać w licznych udanych imprezach satyryczno-literackich. W najbliższą niedzielę, 15 bm. odbędzie się w Warszawie poranek autorski Ludwika Świeżawskiego, który w kołach artystycznych stolicy wzbudził zrozumiałe zainteresowanie.

Fot. Forbert — Warszawa.

ZOFJA KAJZERÓWNA

Do utalentowanych artystek młodego pokolenia, występujących na scenach warszawskich, należy p. Zofja Kajzerówna. Każda jej kreacja, oryginalnie pomyślana i poparta doskonałemi warunkami zewnętrznemi, cieszy się powodzeniem u publiczności teatralnej. Na zdjęciu poniżej: P. Zofja Kajzerówna w roli Roksany w „Cyrano de Bergerac" na scenie Teatru Narodowego.

Fot. Malarski — Warszawa.



„HARNASIE"



W wystawionych ostatnio przez Operę w Poznaniu „Harnasiach" Karola Szymanowskiego, układu Maksymiljana Statkiewicza, w inscenizacji plastycznej Zygmunta Szpingiera i pod batutą kapelmistrza dr Zygmunta Latoszewskiego, wybił się na czoło wykonawców p. Jerzy Kapliński, który przedtem przez dłuższy czas występował w balecie Parnella.

Fot. J. Puciński — Poznań.



NOWOCZESNA KOSMETYKA

Chcesz być piękną?

IV.

WALKA Z PIEGAMI



Powyżej: Zwilżanie piegów sokiem cytrynowym.

Nietylko największe upały w pełni lata, ale już pierwsze cieplejsze promienie słońca wiosennego są groźne dla osób, które podlegają tej przykrej dolegliwości skórnej, jaką są piegi. Wprawdzie nie zalicza się ich do dolegliwości chorobowych, lecz niemniej ten defekt pięknej, jasnej cery jest przykry i należy z nim walczyć zaraz od pierwszych objawów.

Poniżej od lewej: Nacierając twarz silnym roztworem wodnym zwyczajnej soli kuchennej, lub wodą różaną z sokiem cytrynowym, przeciwdziałamy powstawaniu piegów.





Piegi powstają na całem ciele, ale w szczególniejszy sposób gromadzą się na czole, policzkach, szyi, przedramieniu i na zewnętrznej stronie dłoni. Biała, delikatna skóra stanowi ich ulubione tło. Największem niebezpieczeństwem są one dla rudych blondynek, których eteryczną postać mogą piegi zeszpecić bardzo poważnie.

Nic więc dziwnego, że cały świat kobiecy podejmuje walkę z piegami. Ponieważ występują one silniej pod wpływem naświetlania promieniami słonecznemi, pierwszym nakazem tej walki jest unikanie słońca i osłanianie przed niem twarzy przy pomocy parasolki. Tylko silna opalenizna twarzy, na jaką można sobie pozwolić w pełnem lecie nad morzem, zaciemnia skórę twarzy w tak zdecydowany sposób, że pod nią piegi już nie rażą, zlewając się z ogólnym, bronzowym odcieniem opalonej skóry.

Jakkolwiek uporczywe jest trwanie piegów i trudna walka z niemi, nie należy się zrażać, ale wypróbowywać liczne, znane środki do ich zwalczania. Jeżeli nawet nie doprowadzi się do całkowitego ich usunięcia, to w każdym razie przy odpowiedniem traktowaniu skóry można osiągnąć znaczne pojaśnienie piegów, co już będzie pewnym sukcesem.

Godzinę przed wyjściem na dwór należy dobrze wymyć twarz i natrzeć ją mieszaniną wody różanej z sokiem cytrynowym, pozostawiając twarz wilgotną, aby sama wyschła. Wycieranie twarzy ręcznikiem po zabiegach przeciwko piegom nie jest wogóle wskazane; twarz należy pozostawiać wilgotną, aby sama wysychała, przez co działanie danych środków jest intensywniejsze.

Zamiast soku cytrynowego z wodą różaną można też używać wyciągu z cebuli morskiej, którą kraje się w kawałeczki i moczy w occie przez 14 dni. Potem naeży ocet ten przecedzić i nacierać nim twarz przed udaniem się na spoczynek, również nie obsuszając twarzy. Mało znane ziele, rosiczka okrągłolistna, dostarcza po zaparzeniu i zagotowaniu jej suszonych kwiatów, dobrego płynu przeciwko piegom, którym naciera się twarz po dokładnem jej wymyciu, pozostawiając twarz po nacieraniu wilgotną.

Można też przygotować sobie domowym sposobem następujące lekarstwo przeciwko piegom: 150 gr wody różanej, 22 gr wody kolońskiej, 20 gr gliceryny, 3 gr tynktury benzoesowej, 4 gr kwiatu siarczanego, 8 gr boraksu i 3 gr bezwodnika potasu.

Ważnem w walce z piegami jest jak najczyściejsze utrzymywanie skóry twarzy i strzeżenie jej przed poceniem się. W tym celu dobrze jest zwilżać twarz silnym roztworem wodnym zwyczajnej soli, nie wysuszając potem skóry.

Ze staroświeckiej apteczki znane są inne sposoby leczenia piegów. A więc zwilżanie twarzy kwaśnem mlekiem przed udaniem się na spoczynek, po uprzedniem dokładnem oczyszczeniu skóry. Mleko pozostawia się również aż samo wyschnie.

Dziś poza wszelkiemi innemi środkami stosuje się również natryski siarczano-alkaliczne. Walka z piegami jest prowadzona wielostronnie i posiada liczny arsenał środków, służących do ich zwalczania. Jak w każdej sprawie kosmetycznej, tak i tutaj nie wystarczy jeden zabieg, lecz trzeba z wytrwałością i konsekwencją stosować obrane środki przez czas dłuższy, aż skutki dodatnie dadzą się zauważyć.

Elwira.

Przed spaniem dobrze jest natrzeć twarz wyciągiem z cebuli morskiej.



DOMOWY STRÓJ PANI POWINIEN BYĆ MODNY I ELEGANCK



Tę sukienkę będę nosiła po domu" — zdanie takie słyszy się bardzo często z ust pań, które na ulicach czy w lokalu pretendują do miana elegantek. Naturalnie „na po-domu" przeznacza się toalety niemodne, wyświechtane, w których nie pokazałaby się żadne z pań w lokalu czy z wizytą, w otoczeniu znajomych, bacznie obserwujących jej prezencję.

Czy to słuszne? Nie, po stokroć nie! Elegancka pani powinna się starać, aby i w domu, w otoczeniu swoich najbliższych wyglądała ładnie, modnie i szykownie. Właśnie w domu należy być sobą, objawiać dobry gust i kulturę w ubraniu, bo wówczas dopiero elegancja na ulicy i w lokalu nie wygląda na snobistyczną maskaradę. Zresztą, jakie to przykre dla niespodziewanego gościa, gdy musi wyczekiwać cierpliwie na pojawienie się pani domu, gorączkowo „robiącej toaletę"!

Moda współczesna narzuca eleganckiej pani luksusową wytworność właśnie w milieu domowem. Dawne szlafroki ustąpiły miejsca twarzowym, szykownym penjuarom, tj. domowemu strojowi, noszonemu tylko w porze przepołudniowej przed wyjściem i podczas popołudniowej sjesty. Penjuary nie różnią się na pierwszy rzut oka sutością kroju i fantazyjnością linij od strojnych toalet wieczorowych. Tylko znawca pozna po drobnych szczegółach, jak np. kroju rękawa, mniejszym dekoltażu lub zalotnie uwydatniającej kształty obcisłości, że pani domu włożyła na siebie peniuar.

Materjał na poranny strój domowy musi być miękki, układający się niemal pieszczotliwie na figurze, a barwa jego ciepłą i twarzową. Nadają się na ten cel najlepiej aksamity, mięsiste jedwabie, dywetyny, wełniane koronki itp. Krój jest przeważnie dwuczęściowy, tj. suta, kloszowa pidżama, okryta narzutą. Taki strój domowy akcentuje urodę i wykazuje, że pani domu umie być elegancka nie tylko „na pokaz"!

Wytworny peniuar jedwabny, bogato przybrany haftem na pasku, rękawach i na obramieniu figarka.
Fot. Imre von Santho.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA Z RABARBARU. 50 dkg rabarbaru wymywa się pod bieżącą wodą, następnie kraje w cienkie kawałki wraz z łupką, poczem gotuje się je z dodatkiem 1½ litra wody, kawałka cynamonu i skórki cytrynowej. Rozgotowany rabarbar przeciera się przez włosiane sito, słodzi wedle upodobania, zagotowuje, podprawia łyżeczką mąki ziemniaczanej, rozkłóconej z kieliszkiem wina. Zagęszczoną w ten sposób zupę wlewa się gotującą na żółtko, roztarte w wazie z łyżeczką deserowego masła. Do zupy podaje się osobno słodkie grzaneczki lub makaroniki migdałowe.

KOMPOT Z RABARBARU gotuje się w nowoczesny sposób tak: ½ kg łodyg wymywa się, kraje w małe kawałki, następnie zasypuje 25 dkg cukru i odstawia na pół godziny. Rabarbar zagotowuje się następnie **w szczelnie** zamkniętem naczyniu, wstawia zaraz po zagotowaniu do skrzynki samowarka i pozostawia w niej przez godzinę. Po wyjęciu studzi się kompot i podaje przybrany konfiturami. W braku skrzynki samowarka, którą można w każdem gospodarstwie własnym przemysłem a małym kosztem sporządzić, owinąć należy naczynie w gazety i ciepłą chustkę i pozostawić przez 2 godziny w spokoju. W ten sposób gotowany kompot z rabarbaru pozostaje w całości i zachowuje aromat.

MŁODY SZPINAK Z ŚMIETANĄ. ½ kg młodego szpinaku płucze się dokładnie i osącza na sicie. W rynce kamiennej rozpuszcza się 5 dkg masła i wrzuca potrosze osączony z wody surowy szpinak. Listki miękną w maśle i puszczają sok, w którym się duszą przez pół godziny, poczem dodaje się 4 łyżki gęstej śmietany, troszkę soli i łyżeczkę siekanej, zielonej pietruszki, zagotowuje i podaje z sadzonemi jajami lub parówkami.

RYŻ ZAPIEKANY ZE SZPINAKIEM. 15 dkg ryżu praży się z łyżką masła na ogniu, aż nabędzie złotawego koloru, poczem zalewa się rosołem i dusi na sypko. 1/4 kg szpinaku przyrządza się na gęsto, miesza z ryżem, dodaje dwa utarte żółtka, troszkę soli i pieprzu oraz łyżkę parmezanu. Masę dobrze wymieszaną nakłada się do rynki, natartej masłem i wysypanej bułeczką, kropi masłem i wstawia do gorącego piecyka na pół godziny. Potrawę tę podaje się, jako jarskie danie dla siebie lub jako dodatek do dań mięsnych.

PRZYSTAWKA Z SZYNKI I JAJ. Duże a cienkie płaty szynki osmaża się szybko z obu stron na maśle, poczem zawija się w nie jaja na półtwardo ugotowane i ze skórki ostrożnie obrane. Ruladki te układa się na ogniotrwałym półmisku, otacza ryżem, posypuje suto parmezanem lub innym tartym serem, kropi masłem i wstawia na 10 minut do gorącego piecyka.

PSTRĄGI, które mają być gotowane „na niebiesko", należy nabywać żywe, trzymać je w wodzie, a zabijać tuż przed gotowaniem, inaczej nie nabędą po gotowaniu ładnego koloru, który powstaje przez ścinanie się śluzu, znajdującego się na skórze ryby. Wodę z solą należy zagotować i trzymać w stanie wrzenia; pstrągi zabija się przez uderzenie trzonkiem noża w głowę, następnie rozcina się ostrym nożem ryby, prowadząc nóż w kierunku od naciętej szyji do ogona, aby zaraz wypatroszyć, szybko zanurzone w wodzie. Oczyszczone ryby układa się na ruszcie wanienki ciasno, jedną obok drugiej, grzbietem do góry, pozostawia przez 15 minut, aby zesztywniały, potem zalewa gotującym octem, tyle tylko, aby ryby nabrały niebieskiego koloru, następnie dolewa się ostrożnie brzegiem naczynia wrzącej wody z solą tak, aby woda rybę przykryła. Wanienkę z rybą przykrywa się lekko papierem i pozostawia na piecu w takiem miejscu, gdzie woda będzie miała temperaturę bliską wrzenia, lecz nie będzie się gotowała, inaczej skóra na rybie popęka. Po trzech kwadransach ryba jest ugotowana, poznaje się to po oczach ryby, które wyglądają wtedy, jak białe, wystające paciorki. Ryby, wyłożone ostrożnie na ogrzany półmisek, nie tak ciasno jak się gotowały, przekłada się zielonemi gałązkami pietruszki. Osobno podaje się sos holenderski lub tylko rumiane masło. Są smakosze, którzy używają do pstrągów tylko surowego masła, twierdząc, że każdy inny dodatek psuje wytworny smak pstrąga.

Chcąc rybę tę podać na zimno, nie należy jej wyjmować z rosołu, lecz trzymać ją w nim aż do podania, nawet przez 2—3 dni, oczywiście w lodowni lub chłodnem miejscu. Do zimnego pstrąga podaje się ocet i oliwę lub sos majonezowy. Uwaga: ryby należy przechowywać w naczyniu szklanem lub porcelanowem, nigdy w metalowem.

PIECZONE PIEROŻKI Z MASĄ ORZECHOWĄ. 15 dkg masła, 15 dkg dobrze wyciśniętego sera i 15 dkg mąki, daje się na deskę i zarabia szybko zapomocą szerokiego noża, nie dotykając ręką, na tęgie a gładkie ciasto. Przez pół godziny powinno ciasto spoczywać, poczem się je wałkuje na grubość grzbietu noża, wykrawuje większą foremką od pączków okrągłe placuszki, nakłada na środek każdego łyżeczkę masy orzechowej, formuje pierożki, zlepiając brzegi białkiem, bez naciskania palcami. W gorącym piecyku pierożki silnie narastają. Po wyjęciu posypuje się je suto cukrem pudrem z wanilją. **Masę orzechową** sporządza się z mielonych orzechów i cukru w równych ilościach; gorącą śmietanką zarabia się orzechy z cukrem na gęstą masę.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Ładna porcelana, to chluba każdej gospodyni. Panie domu, starają się jak najdłużej utrzymać w całości swe cenne serwisy, zagrożone zawsze ze strony pracownic domowych. Ale i to nie wystarcza. Ustawiane jedne na drugich — poszczególne przedmioty pokrywają się rysami, z których powstają później pęknięcia. A jak to nieprzyjemnie, gdy źle ustawiona porcelana porusza się i dźwięczy przy przechodzeniu obok! Aby tym przykrym możliwościom zapobiec, pamiętać trzeba o ustawianiu na sobie tylko tej samej wielkości i kształtu naczyń, przyczem przekładanie ich bibułkami papierowemi lub serwetkami koronkowemi, jak widzimy na zdjęciu, chroni porcelanę zarówno od rys, jak i niepotrzebnego „dźwięczenia".

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 21

Maj

31 dni



NIEDZIELA 15 — Zofii z córkami

Zupa wiosenna z pulpetami. Krokietki z móżdżków. Pularda z mizerją. Kompot. Ciastka z orzechami.
Kolacja: Pstrągi w marynacie lub auszpiku.

PONIEDZ. 16 — Jana Nepom.

Zupa z rabarbaru z grzaneczkami. Ryż z szpinakiem zapiekany. Kotlety wieprzowe z sałatą. Galaretka pomarańczowa.
Kolacja: Szynka z jajami.

WTOREK 17 — Paschalisa

Zupa ryżowa z cytryną. Kruszka cielęce na szpadkach. Polędwica wołowa na dziko z makaronem. Budyń orzechowy z sosem waniljowym.
Kolacja: Awanturka /ser biały, roztarta sardynka, rzodkiewka i szczypiórek/.

ŚRODA 18 — Feliksa

Rosół z groszkiem ptysiowym. Gołąbki z ryżu lub ravioli. Kura z rosołu z sosem chrzanowo jajecznym. Suflet z jabłek.
Kolacja: Hachée z mięsa rosołowego z sadzonem jajem.

CZWARTEK 19 — Iwona

Zupa jarzynowa "Julienne". Ozorki cielęce w pomidorach. Kotlety siekane z mięsa cielęcego i wieprzowego - purée ziemniaczane i ćwikła. Placek drożdżowy z serem.
Kolacja: Szpinak z parówkami lub jajami.

PIĄTEK 20 — Bernarda

Zupa śmietanowa z perłówką. Kotlety jarzynowe z grzybowym sosem. Pstrągi na niebiesko z fritkami lub tartemi ziemniaczkami. Biszkopt z kremem kawowym.
Kolacja: Kasza tatar. z kefirem.

SOBOTA 21 — Heleny kr.

Barszcz z uszkami. Strudel ziemn. z skwarkami. Mostek cielęcy nadziewany. Marchewka. Kompot surówkowy.
Kolacja: Kluseczki w jajecz.



HOCKI-KLOCKI

WOJNA W ŚREDNIOWIECZU.



Dowódca armji oblegającej: — Jesteśmy zgubieni! Nieprzyjaciel wylał na zbroje naszych żołnierzy płynny ołów i pozlepiał ich wszystkich! (Ric et Rac).

TRUDNY MANEWR.



— Nie uda się nam podejść wroga, bo grad, uderzając o nasze pancerze oznajmił im o naszem zbliżaniu! (Ric et Rac).

Rozwiązania Nru z 19-go.

BUDOWA KAJAKÓW.

Jeden chłopiec zbuduje jeden kajak też w trzy dni.

DWIE CYFRY.

8 i 4.

POCIĄGI.

Drugi pociąg jedzie z szybkością 32 km/godz.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PRUDENCJA.

Moja ostatnia rozmowa z Prudencją miała mniej więcej taki przebieg:

Prudencja: Czy przypominasz sobie naszą rozmowę o Pacjencji i o sposobie, w jaki odkładała pieniądze dla dzieci?

Ja: Oczywiście. A czy ty robisz to samo?

Prudencja: Niezupełnie. Ale coś bardzo podobnego. Z końcem roku dodaję lata moich dzieci, oczywiście nie uwzględniając miesięcy, a tylko ilość skończonych lat. Sumę tę mnożę przez lata nastarszego dziecka. Tyle, ile wynosi iloczyn lat, tyle złotych odkładam do kasy.

Ja: O, to ilość pieniędzy wzrasta dosyć szybko, czy nie?

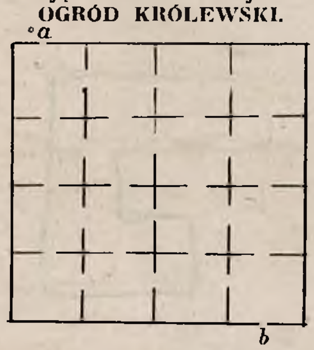
Prudencja: Owszem. Ostatniego roku włożyłam o 300 zł więcej, niż w roku, w którym zaczęłam oszczędności. I mam zamiar tak postępować, dopóki młodszy nie dojdzie do 13 lat.

Ja: Każdy z twych trzech synów jest tylko o rok młodszy od swego starszego brata, czy nie tak?

Prudencja: Tak.

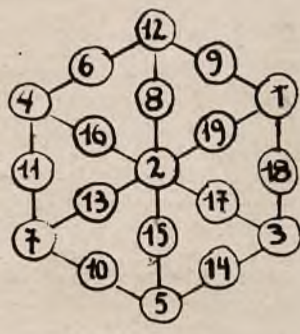
Ile lat mają dzieci Prudencji?

OGRÓD KRÓLEWSKI.



Zwarjowany ogrodnik króla Kulonji założył już poza obrębem zamku królewskiego wspaniały, ale zupełnie dziwaczny ogród. Ogród ten był kwadratowy, podzielony wysokiemi żywopłotami na 16 części — tak, jak to wskazuje rysunek. W parku były przejścia od jednej części do drugiej, lecz tylko dwa różne wejścia do ogrodu. Proponujemy Czytelnikom wejść furtką A, a wyjść B, ale w ten sposób, by wejść tylko raz jeden do każdego z 16-tu ogródków. W jaki sposób można to zrobić?

TARCZA STAREGO DZIWAKA.



Pewien stary rycerz miał dziwną tarczę, do której strzelał z łuku. Na tarczy tej, którą przedstawia rysunek, tak ułożył cyfry, że 3 liczby na każdej z dwunastu linij dodane do siebie, dawały w sumie 22. Syn rycerza miał podobną tarczę, z tą tylko różnicą, że cyfry (również od 1 do 19) dodane do siebie na każdej z dwunastu linij dawały w sumie nie 22, lecz 23. Proponujemy Czytelnikom narysować tarczę zdziwaczałego rycerza.

TAMA NA STAWACH.

Dwa stawy zawierają tę samą ilość wody. Średnica pierwszego wynosi 1 km, a średnia głębokość 20 metrów. Drugi staw jest znacznie mniejszy — jego średnica wynosi tylko pół kilometra, a jego średnia głębokość 40 metrów. Na obu stawach zbudowano domy jednakowej długości. Która z tam musi być silniejszej konstrukcji?

Dokończenie ze str. 16-tej.

ting room". Utrzymany jest w stylu Ludwika XV. Zwraca uwagę kolekcja barwnych sztychów botanicznych, pochodząca z Norymbergi i wykonana w końcu XVIII w. Jest kilka starych cennych zegarów. Jeden z nich ładnie wykonany jest w stylu „régence", drugi — „à la soleil". Przy oknie stół z typowo amerykańską grą w rodzaju warcabów, t. zw. „backgemmon". Przy nim dwa krzesełka o haftowanych specjalnych oparciach, siadano na nich bowiem modnym kiedyś zwyczajem... okrakiem („à califourchon"). Dużo tu jeszcze pięknych sztuk, jak np. stary jesionowy sekretarzyk, cenny dywan o wzorach greckich, obrazy i rzeźby, śliczne gobelinowe parawany...

Pierwsze piętro mieści pozatem jeszcze sypialnie pp. ambasadorostwa, a przy sypialni ambasadora jest znakomicie wyposażona sala gimnastyczna.

Jak wiele p. Biddle już zdziałał dla propagandy Polski, pomimo swego krótkiego u nas pobytu, trudno wyliczyć. Wciąż zaprasza do siebie z Ameryki w gościnę swych najwybitniejszych rodaków, senatorów i gubernatorów, przemysłowców i finansistów, obwozi ich samochodem po całej Polsce, mówiąc: „Patrzcie i podziwiajcie". Nie mieliśmy w Polsce ambasadora U. S. A., któryby życzliwiej i pożyteczniej dla Polski sprawował swoje odpowiedzialne funkcje urzędowe. **H. L.**

SKROMNOŚĆ.



Sędzia: — Pańska karjera przestępcza, to swego rodzaju rekord!

Więzień: — O, panie sędzio, pan jest zbyt łaskaw! W Ameryce dokazują większych rzeczy! (Ric et Rac).

W ERZE SPORTÓW.



Policjant: — A ten numer na plecach to co właściwie oznacza?

— Ach, to nic, biorę udział w zawodach. (Ric et Rac).

O tak! – to warto
przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

„Kłos słońca" Stefan Gołębiowski. Bardzo dojrzały debjut poetycki, wyśmienite opanowanie formy, płynność i poprawność wyrazu. Słyszy się wprawdzie w tej twórczości wyraźne pogłosy skamandrytów (głównie Tuwima), lecz mimo wszystko uderzają w „Kłosie słońca" muzyczne powaby słowa. P. Gołębiowski jest treściwy, zna wagę słów, łączy je w sugestywne zwrotki, jak np. w tym obrazie upału:

Alkohol słońca bez miary piła
Pora obiednia —
Białej gorączki i ognia w żyłach
Nic nie odżegna.
Dzień nieprzytomny o dżdżu
jałmużnę
Daremnie żebrze —
Popiół na wargach i ręce próżne
Przy pustym cebrze.

„Chwasty płonące" Antoni Kasprowicz. Autor, który debjutował przed 3 laty tomikiem „Słońce za murem", ogłosił nowy zbiór wierszy, w których znać poszukiwanie właściwego wyrazu. Najlepsze rzeczy znajdujemy w cyklu tytułowym „Chwasty płonące", co świadczy, że poeta orjentuje się w swych możliwościach artystycznych. — W zetknięciu z naturą zdobywa p. Kasprowicz najbardziej osobiste akcenty.

Nam płoną drzewa, trawy,
chwasty —
rdzawym księżycem podpalone,
co nad płonącym borem zastygł
w blasku złocistym i zielonym.

Mieczysław Smolarski: „Iskry na szablach". Renesans powieści historycznej? — Tak, jeśli wziąć pod uwagę takie nazwiska, jak świetnej autorki „Krzyżowców", jak debjutującego bardzo interesująco Teodora Parnickiego („Aecjusz"), jak J. Iwaszkiewicza „Czerwone tarcze", jak H. Malewskiej „Żelazna korona".

Powieść Smolarskiego „Iskry na szablach" ukazuje Polskę z czasów Władysława IV, w okresie potęgi Rzeczpospolitej. Autor roztacza przed nami obrazy z życia wsi, miasta, dawnej Warszawy, obozu pod Smoleńskiem... Poznajemy nietylko szlachtę, ale i mieszczan. **J.**

Sigurd Elkjaer: „Między morzem a fjordem". Pełna niezwykłego czaru i głębokich wartości tak sobie właściwych literatura skandynawska zyskała nowe, wspaniałe dzieło powieściowe w tej książce **Elkjaera „Między morzem a fjordem"**, którą obecnie w przekładzie polskim rzuciła na rynek „Książnica-Atlas". W tej powieści o codziennem życiu „szarych ludzi" na duńskiej wysepce tkwią fascynujące elementy, jakie zyskały literaturze duńskiej, szwedzkiej i norweskiej — tak ściśle pokrewnym — miano najlepszych literatur powieściowych świata.

Tarlton Rayment: „Dolina nieba". Wysoki poziom literacki powieści, wydawanych przez „Książnicę-Atlas" daje tem większą rękojmię, jeśli chodzi o powieści tłomaczone. Nie zawodzi naszego przekonania w tym względzie powieść australskiego autora **Raymenta „Dolina nieba"**. Sam temat bardzo ciekawy — wdzieranie się białych, podbijających nieznane okolice Australji — opracowany pomyślnie, daje autorowi szerokie pole do pięknych opisów przyrody i obyczajów pierwotnych ludów australskich. Dużo scen bardzo silnych, całość przytrzymująca uwagę w ciągu całej lektury. **w. z.**

NA SCENIE.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego wystawił beztroską sztukę jugosłowiańskiego autora, Bronisława Nusića **„Pani ministrowa"**, w przekładzie p. Edyty Gałuszkowej. W komedji tej, wyreżyserowanej przez p. Józefa Karbowskiego, zbierają oklaski wszyscy wykonawcy. Pani Jadwiga Korecka jako ministrowa, snująca dumne plany w nowej sytuacji towarzyskiej, stworzyła postać bardzo zabawną; p. Mieczysław Węgrzyn dał nowy dowód żywotności swego talentu w roli Czedy, zięcia ministrowej. Wyróżnić trzeba pozatem panie W. Niedziałkowską (Dara) i E. Jaworską (Anka), oraz panów: K. Szuberta (wujek Waza), Wł. Macherskiego (dr Ninković), L. Ruszkowskiego (Rysta Teodorović).

POZNAŃ. W teatrze Polskim obchodzono jubileusz 30-lecia pracy scenicznej p. Marjana Bogusławskiego. Artysta wystąpił w sztuce Perzyńskiego **„Uśmiech losu"** w roli Siewskiego. Krytyka pisze z uznaniem o subtelnej technice pisarskiej Perzyńskiego, podkreślając również sukces artystyczny aktora-jubilata.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 15 maja.

12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa.
16.05 Wolfgang Amadeusz Mozart: Trio Es-Dur.
17.00 „Zapomniany kabaret", — podwieczorek przy mikrofonie.
19.20 „Brat znajduje brata", komedja radjowa.
19.35 „Słynni wirtuozi" — XXI audycja.
21.15 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa.

Poniedziałek, 16 maja.

15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Suity — w wykonaniu Orkiestry Rozgł. Wileńskiej.
17.15 Koncert kameralny.
19.30 Dyskutujmy: „Społeczne i artystyczne zadania literatury".
22.00 Koncert orkiestry P. R. Muzyka francuska.

Wtorek, 17 maja.

15.45 „Rzeczy ciekawe z pięciu części świata".
16.15 Marsze, walce i mazury w wyk. Ork. Rozgł. Lwowskiej.
17.00 Najstarsze centrum górnictwa polskiego — odczyt.
17.15 Recital fortepianowy Sylvii Serbescu.
20.05 Opera.

Środa, 18 maja.

16.15 Koncert popularny z Wilna.
17.15 Jan Brahms: Kwartet fortepianowy op. 26 A-Dur.
19.20 Recital śpiewaczy Mauryce-go Janowskiego.
19.50 Transmisja fragmentu meczu piłkarskiego „Wandaras Londyn — Reprezentacja Śląska".
20.10 Europejskie orkiestry taneczne (płyty).
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Henryka Sztompki.

Czwartek, 19 maja.

16.15 Koncert solistów.
19.00 Premjera słuchowiska „Pełną parą na Hong-Kong".
19.30 Karol M. Weber: Grand Duo Concertant F-Dur op. 48.
20.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa.
22.00 Twórczość Karola Szymanowskiego (VI audycja). — Transmisja z Konserwatorjum Warszawskiego.

Piątek, 20 maja.

16.15 „Toast z pantofelka" — lekka audycja muzyczna.
17.00 O Kongresie pracy obywatelskiej kobiet — mówić będą Aleksandra Piłsudska i dr Hanna Pohoska.
17.15 Zespołowa muzyka wokalna.
18.10 Wielka orkiestra fortepianowa — Ivory Keys (płyty).
19.00 „Zrzędność i przekora" — VIII wiecz. komedji A. Fredry.
20.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, 21 maja.

11.40 Franciszek Schubert: Fragmenty z Tria B-Dur op. 99.
15.45 „Czarodziejski kamień" — słuchowisko dla dzieci.
18.15 Len Fillis gra na gitarze hawajskiej (płyty).
20.00 „Gdy zadźwięczą przy piosence mandoliny" — audycja ze Lwowa.
21.00 Muzyka taneczna.
21.45 „Popularność", wesoły skecz.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.